

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 1 sierpnia 1948 r.

Nr 31 (140)

TREŚĆ NUMERU: A. Janta — Do Przyjaciela Anglika; M. J. Kononowicz — Warszawa 1948; M. Ubysz — Salut L. Wojciechowski — Wspomnienia „Enisty”; Wiersze powstańcze; St. Podlewski — Dni chaosu i walki; W. Pietrzak — Lot jaskółek; Tydzień kulturalny; Film; Czytelnik uważa, że...

Dzień Żałoby

Pierwszego sierpnia tłumy ludzi budujących dziś nową Warszawę i nowe Państwo, zjeżdżają się w skupieniu nad groby Powstańców na wojсковych cmentarzach Powązek i Woli. Nad tymi grobami cała Warszawa po raz czwarty odda hołd pamięci najlepszych i po raz czwarty zastanowi się nad wymową największego dramatu w dziejach Polski i jednej z najstraszliwszych doświadczeń w dziejach ludzkości.

Współczesne pokolenie Polaków nieprędko uwolni się od potrzeby zadumy nad brutalną lekcją historii. Ci, którzy uczyli się wojny i odpowiedzialności społecznej poza granicami kraju, którzy przyszli do Polski ze Wschodu i wrócili do niej z Zachodu i nigdy nie byli ani aktorami ani widzami wielkiej sceny Walki Podziemnej i Powstania, może tę potrzebę odczuwają mniej silnie. Dla nas, dla żołnierzy przebytej klęski, jest ona nadal koniecznością.

Ostere lata tak gwałtownego życia powojennego, to bardzo dużo o wszystkich sprawach wojny i okupacji możemy mówić coraz spokojniej i bezstronnie. Dawne różnice poglądów, stanowisk i poglądów dzieł coraz mniej. Przystawiały dzielić z każdym dniem nowego życia. Po prostu powstały inne podziały. Mimo to pogląd na okres konspiracji nie jest jednolity, a sama ocena Powstania Warszawskiego bywa, niestety, bardzo różna. Prawda, nikt z nas nie zna wszystkich faktów i dokumentów nie posiada pełnego materiału historycznego. Te luki na pewno długo jeszcze będą istnieć, ale sądzę, że zapełnienie ich w niczym istotnie nie zmieni obrazu, który jest aż nadto wyraźny.

Dzisiejszy oboz rządzący przyjął zasadę oddzielnej oceny dowództwa i żołnierzy Armii Krajowej. Nie trzeba być ani członkiem ani zwolennikiem tego obozu, aby stwierdzić, że w Wypadku Powstania Warszawskiego ludzie odpowiedzialni za los Armii Krajowej i Państwa Podziemnego popełnili nie błąd, ale zbrodnię lekkomyślności politycznej i wojskowej. Uniknęli oni odpowiedzialności osobistej przed narodem, ale nie i nikt nie ulaskawił ich przed historią. W tej tragicznej sprawie każdy rozsądny Polak ma tylko jedno zdanie. Zgodni są publicyści Bloku Demokratycznego z sądem bezwzględniego przeciwnika obozu PKWN-u óp. Ignacego Matuszewskiego. Może najcięższe padło oskarżenie w ostatnim w życiu artykule czołowego pilsudczyka. — Jest to sąd powszechny i ostateczny. Żadne nowe dokumenty go nie zmieniają.

Dlatego modlą się za setki tysięcy poległych w ruinach Warszawy, módlmy się również, aby już nigdy więcej los Polski nie dostał się w ręce nieodpowiedzialnych ludzi.

A żołnierze? — Jest tam na Powązkach pomnik. Postawili go koledzy powstańców AK i położyli na nim napis: Gloria Victis — chwała zwyciężonym.

Najbliższym, najpiękniejszym ludziom i żołnierzom chwała. Chwała, pamięć i cześć.

Gdy się myśli o Powstaniu, myśli się też i o całych dziejach AK.

W olbrzymim zrywzie podziemnej walki z Niemcami wzięły udział wszystkie wartościowe elementy narodu. Polska była jedynym z krajów okupowanych, gdzie niezależnie od pochodzenia społecznego, każdy człowiek coś wart musiał się znaleźć w szeregach konspiracji.

Tak powstała historia minionych dni wojny. Co z nią zrobić?

Przede wszystkim trzeba ją uszanować. Przekazać pokoleniom następnym jej prawdziwy, nieuproszczony obraz — z wszystkimi zawiłosciami, bolesnymi i tragicznymi sprawami.

Zasluguje na pamięć wielki konflikt wewnętrzny żołnierzy, którzy po latach najcięższych walk bojowych znaleźli się w nowej rzeczywistości polskiej z niezawinionym poczuciem winy i klęski.

Czy obraz naszych czasów i naszego narodu nie będzie bardziej twórczy, gdy dzisiejszy budowniczy Polski będzie wspominał siebie samego z przed trzech lat i gdy o przeżytych konfliktach będzie się uczył jego syn.

Witold Bienkowski

Tradycja Armii Krajowej

Nie ma dzisiaj rozbieżności zdań co do wielkich wartości moralnych powstańczego zrywu, maleją również coraz bardziej różnice w politycznej ocenie powstania. Nadchodzi czas na zaszerogowanie Powstania Warszawskiego w rzędzie polskich powstań narodowych. Polityk beznamytnie oceni ich błędy, przyznając jednocześnie słusność historykowi, akcentującemu ich wielkie dla narodu wartości wychowawcze.

Cztery lata od daty 1 sierpnia 1944 roku to jednak i jednocześnie mało. Wiele dla możliwości przeprowadzenia obiektywnej analizy politycznej — mało dla wyciągnięcia konsekwencji z nauki zysków i strat.

Jeśli można i należy zacząć oceniać Powstanie Warszawskie pod kątem jego wielkich narodowych wartości wychowawczych — trzeba przede wszystkim wydobyć i wypuklić tę niepolityczną tradycję członków zbrojnego narodowego gestu, która mogła ulec zniekształceniu w atmosferze ocen politycznych.

Tradycja Armii Krajowej, jako głównego trzonu akcji powstańczej, przez związanie jej z nieodpowiedzialną koncepcją polityczną mogła i nawet musiała być oceniana przez dłuższy okres czasu wyłącznie kryteriami politycznymi. Przyczyniło się również do tego w niemałym stopniu przetrwanie przez pewien czas w kraju londyńskiej emigracyjnej koncepcji politycznej.

Tradycja Armii Krajowej, jako pozytywna wartość w polskiej histo-

rii walki z wrogiem, to nie wykładnik polityki rządu emigracyjnego, Mikołajczyka czy Bora-Komorowskiego. Armia Krajowa, której wkład w Powstanie Warszawskie znajdzie swoje miejsce na kartach historii — to nienotowane na tę miarę ani w Powstaniu Listopadowym, ani Styczniowym, zmobilizowanie ogromnej części narodu poprzez wszystkie — poziome i pionowe — przekroje społeczne. Obowiązek czynu, obowiązek walki i ofiary — oto istotna treść tych wartości, których punktem szczytowym na nieznaną miarę poświęcenia i wyrzeczenia osobistego było Powstanie Warszawskie.

W ocenach Powstania i wartości Armii Krajowej przewija się stale znamienne rozgraniczanie Dowództwa od zmobilizowanego w żołnierskiej służbie społeczeństwa. Dowództwo — to koncepcja i polityka, masy żołnierskie AK. — to czysta walka w imię wzywającego do niej obowiązku. Tak się ocenia — i słusznie — te sprawy dzisiaj. Cytuję w tym miejscu list z Pawlika, drukowany 25 marca 1944 r. w konspiracyjnym piśmie związanym z Armią Krajową. Z listu tego widać jak te same sprawy oceniano się wówczas. Na przeszło cztery miesiące przed powstaniem, kiedy wewnętrzny stosunek do sprawy dowódcy i żołnierza mógł być aż tak różny.

„Piszę do Was ten list — przełożeni, koledzy i podwładni. Nie pamiętajcie o niczym innym, gdy go czytacie będziecie, jak tylko o tym: — szczerze i prawdziwie pisał ten, który odszedł. Wyzbył się

wszystkiego, co znamy na wolnym świecie — znalazł się samotny sam z sobą.

W tych słowach jest konieczny patos. Trudno — samotność ma tę cechę, że pozwala na ogarnięcie całości tych spraw, których szczegóły w normalnym życiu wydają się aż do śmieszności ważne.

Mówiliśmy wszyscy, gdy jeszcze wśród Was żyłem, że walczymy za sprawę... za Polskę. To były wówczas bardzo małe słowa. Sa dla mnie wielkimi dopiero dzisiaj. Albowiem bardzo niewiele trzeba, aby zacząć rozumieć.

Tam u Was te wielkie słowa są równoznaczne z Waszymi pragnieniami i ambicjami. Tu u nas — istnieją poza i ponad nami i dlatego można lepiej zrozumieć ich wartość.

Tam u Was były drobniaki, były osiągnięcia, były udany trick polityczny — wywołuje osobiste zadowolenie i roją się Wam wielkie rzeczy, których wartość mierzyicie własnym samopoczuciem i zadowoleniem zarysowującej się własnej sławy.

Tam u Was pochwała Waszego szefa, albo podziw Waszych podwładnych wykazują Wam czym jest Sprawa i czym jest Polska. Jesteście silni własnym powodzeniem, jesteście stabi każda nagana, lub każdym złym wypełnieniem Waszych poleceń.

To bardzo dziwne, gdy się pisze, że zrozumieć Sprawę i Polskę można dopiero tutaj. To bardzo dziwne, gdy dopiero tutaj ma się poczucie mocy.

Słyszałem niedawno, w przerwie między jednym i drugim biciem takie słowa: „Nie oddałbym ostatniego roku za pięć lat spokojnych i szczęśliwych. Jeśli czego mi żał, to tylko tego, że trwało to tak krótko.“ Mówiła to młoda dziewczyna, jedna z tych, które pedzacie tam u Was z ulicy na ulicę, której zdaje się, tam u Was, że bezpośrednio uczestniczy w służbie dla Sprawy i dla Polski.

Widziałem tutaj dziwne rzeczy. Takie, za którymi gonicie, jak za sensacją. Takie, o których zbieracie plotki i z każdej z nich preparujecie nowe osiągnięcia dla własnego zadowolenia i dla własnego rozumienia Sprawy i Polski.

Nie bezczeszcie nigdy tych słów. Nie nadużywajcie ich. Będą dla Was święte dopiero wówczas, gdy znajdziecie się sam na sam z sobą i z Nim i ponad i poza Wami.

Tutaj można robić tylko rachunek sumienia. Tutaj można przywołać przed siebie wszystką własną małość na własny i, w tych specjalnych warunkach, na Boży sąd.

Mój Boże! Tutaj nawet pragnienia maleją, tutaj zapominają się o słońcu, o wietrze i nawet o zieloności dawno niewidzianych drzew. Tutaj nie tęskni się do orderów, do pochwały przełożo-

Dowództwo liniowe? — W ogromnej większości to byli koledzy i kierownicy żołnierzy armii podziemnej, która nie zawsze stała z bronią u nogi. W ciągu całej okupacji wkład AK w walkę z Niemcami był olbrzymi, niezapomniany. Może słuszniej byłoby spytać, czy dostatecznie jasno jej dowódcy widzieli za jak wartościową młodzież są odpowiedzialni. W bojowych akcjach ginęli intelektualiści i artyści. Może można było ich uratować?

Armia Krajowa miała najczystszy styl żołnierski. Ci chłopcy bali się wszelkiej polityki. Czuli się powołani do obrony godności narodu w chwili najcięższej. Chcieli mieć zaufanie do dowództwa. Można o nich powiedzieć słowami Czesława Miłosza, gdy mówi o stanie miłości:

„Wtedy i siebie i rzeczy chce użyć,

Żeby stanęły w wypełnienia lunie,

To nie, że czasem nie wie, czemu służyć:

Nie ten najcieplej służy, kto rozumie“.

Nał Polską płonęła wielka luna. Zawaliły się mrzonki nieodpowiedzialnych polityków. Została wspaniała karta służby Polsce żołnierzy AK.

Dominik Horodyski

Dm 19/05

(dokończenie ze strony 1-szej)

nych: do imponowania podwładnym. Tutaj jest się tym, kim się jest.

Kłamać? Można by kłamać. Można by pisać wielkie słowa ku „pokrępieniu” Waszych serc. Ale stał wychodzić się tak bardzo rzadko. Więc czy warto pisać coś dla własnego zadowolenia?

Wy nie wiecie, co to jest Sprawa i co to jest Polska. Powiedzieć Wam co to jest — nie potrafię. Nie zdobędzie się również na to, aby Wam życzyć, abyście, jak ja, zrozumieli.

Jeśli piszę, to tylko po to, aby zapewnić Was, że jestem szczęśliwy i że mi nic nie trzeba. To jest dziwne szczęście — to szczęście tutaj. I jeśli Wam powiem, że polega nie na rezygnacji, ale na poczuciu, że dostąpiło się łaski rozumiem — nie uwierzycie.

Mam jedną tylko prośbę — pozwólcie mi wierzyć, że jesteście więksi niż ja wśród Was byłem. Pozwólcie mi cieszyć się tym, że Sprawa i Polska coś dla Was rzeczywiście znaczą. Że nie są to słowa, że w Waszych czołach ktoś odnajdzie treść.

Tutaj filozofować jest trudniej, niż myśleć. To też po jednym i przed drugim „badaniem” żyje tylko w wielkiej kontemplacji nad rozważaniem spraw Waszych i moich. Żyje głęboką wiarą, że, poznawszy siebie, jestem innym i dużo gorszym od Was. Gdyby było inaczej — ciężkie miałbym życie. Żyjąc tą wiarą mam uśmiech na twarzy i między jednym i drugim uderzeniem potrafię sobie powiedzieć — „wierzę w Polskę”.

Tak napisane słowa „Wierzę w Polskę” dały czyn powstańczy, niezależnie od błędów reprezentowanej przez dowództwo koncepcji politycznej.

Są jeszcze inne słowa, które biorę z konspiracyjnego pisma z dnia 25 lutego 1944 r.

„I dlatego żal jest dzisiaj umierać. Rozpacz ogarnia skazanych, którzy w ostatniej sekundzie życia potrafią być mądrzy i w przedziwnym jasnowidzeniu śmierci trafnie oceniają swój wkład, którego nikt nie podejmuje, bo nie ma takiego, kto by go podjął.

I dlatego w ocenie dzisiaj żyjących i już dzisiaj na niewiadomą śmierć skazanych powstaje bunt. Bunt przeciw wszelkiej małości. Bunt przeciw brakowi decyzji. Bunt przeciw gadaniu, przeciw politykowaniu, przeciw przelewaniu z próżnego w puste, przeciw zakłamanym deklamacjom, przeciw pysze tych, którym się zdaje, że w gabinetowych rozmowach potrafią odwrócić kłeskę.”

W tych słowach jest ocena. Zważywszy na datę jej wypowiedzenia jest to ocena surowsza od wszystkich, które w pierwszym dwu- i trzyleciu powstańczym słyszeć było można.

Tradycja AK i tradycja walki powstańczej nie może się wiązać z „polityką na wyrost”, będącą podstawą londyńskiej emigracyjnej koncepcji. Nie chodzi mi w tej chwili o zajmowanie się sprawą słuszności takiej lub innej orientacji. Nie chodzi mi o kwalifikowanie błędów wynikających z długo- czy krótkowzroczności politycznej.

Chodzi mi tylko i przede wszystkim o stwierdzenie, że polskiej polityce emigracyjnej zabrakło realizmu, że w okresie ścisłego wypełniania zobowiązań między Wielkimi Aliantami byli politycy, reprezentujący polską sprawę, którzy uważali, że można ją ustawić poza zobowiązaniami międzyalianckimi i ponad aktualnymi układami warunków w polityce międzynarodowej. Taka polityka, którą nazywam „polityką na wyrost”, polityka nie wiążąca w rezultacie sprawy polskiej z żadnym z Aliantów — była kontynuowaniem przedwojennego mitu „mocarstwowości” polskiej, polskiej „samowystarczalności” i romantycznych aktów kawaleryjskiej szarży na niemieckie czołgi.

Nie tylko dzisiaj, ale i przed powstaniem inne byłyby słowa o dowództwie, gdyby można było ocenić li-tylko jego polityczne błędy. Błędy są możliwe i nieodłączne od każdej polityki — ale nie takie błędy, które jest tak samo trudno politycznie klasyfikować, jak nie można mierzyć niewymiernych mrzonek i wyobrażeń.

Były czynione próby urealnienia koncepcji politycznej. Wystarczy wspomnieć działalność Jerzego Mokwieckiego z Bip'u, nieśmiało i ostrożnie artykuły Wiederszala w „Biuletynie Informacyjnym”, zwracające uwagę na konieczność zajęcia realnego stanowiska wobec jednego z Aliantów — Związku Radzieckiego. Kraj był jednak ciągle politycznie uzależniony od Londynu. To pewnie. Wydaje mi się dzisiaj, że śpiewka o politycznej zależności Londynu od kraju należała także do obronnego repertuaru mrzonek polityków z Hotelu Rubensa.

Walka o właściwe rozumienie tradycji AK zbliża się ku końcowi. Zbyt wiele aktów świadczy o przechyleniu się szali ocen na niekorzyść bezkoncepcyjnej polityki dowództwa, aby móc mieć pewność, że żołnierskie walory wierności Polsce i Służbie pozwalają już na inny rodzaj — historyczny i wychowawczy — mierzenia zasług i zysków.

Pozycja strat, związana z Powstaniem Warszawskim, nie obciążała nigdy — a dzisiaj jest to jeszcze bardziej oczywiste — moralnej i patriotycznej armii AK. Pozycja zysków wychowawczych i narodowych zamknie w sobie to wszystko, co cytowany już autor pisma konspiracyjnego pisał w lutym 1944 r.:

„My mamy większe aspiracje, niż zapisywać karty historii Warszawy, Krakowa, czy Lublina. Chcemy mieć pewność, że bohaterstwa historia krwi na ulicach miast polskich wyrośnie do znaczenia Wielkich Zdarzeń, które zapisze Historia. Historia, dla której my pozostaniemy bezimiennymi, ale która nasza krew, bohaterstwo poległych braci i nasza jutrzejsza ofiara nazwie imieniem triumfu i zwycięstwa”.

Witold Bińkowski

Aleksander Janta

Do Przyjaciela Anglika

Sumienie niech cię nie sędzi. Razem z Warszawą dziś spal jej! Wytrzebić musisz z pamięci tę bezprzykładną batalię, bo budzić będzie niewinnych i krzywić krzywdą samotną i barykady; te same, twój spokój na strzepy potną. Na ciebie z ruin rozbitych patrzy reflektor ich grozy i świeci raną otwartą. A ranni mrą bez narkozy a lud za wolność walczący, za swoją i twoją własną ostatkiem tchu jeszcze woła, kiedy nadzieje już gasną, a ty odwracasz spojrzenie od bolesnego ich kształtu i milczysz milczeniem zмовy, choć potępiłeś gest gwałtu. Więc lepiej, żebyś zapomniał głosu tej polskiej rozpacz, co wszystko pojąć gotowa, a tego — już nie wybaczy.

Londyn, wrzesień 1944 r.

Maciej J. Kononowicz

Warszawa 1948

Towarzyszom z Powstania

Została pod powiekami
Warszawa — miasto niezłomne —
Podpływa nocą tratwami
Snów, co się rodzą ze wspomnień...

Zostało niebo to samo,
Gwiazdy te same i księżyc
I Wisła, której nie można
Tak jak i gruzów — zwyciężyć.

Czerwony pył zalał oczy
Więc w oczach pełno Warszawy —
I kroczysz na przelaj kroczysz
Starówką, wdeptaną w trawy.

Pęknięte świątyni sklepienia
Przemyna obłok i błękit:
Więc płyniesz — i płynie ziemia
I domów rozdartych strzepy.

Zostało bardzo niewiele,
Bo: ty, coś nie umiał poleć.
Księżyc i gwiazdy bezdomne,
Rzeka i cmentarz i pole...

Nauć się gruzów na pamięć,
Nim nowym wyrosną miastem,
Nauć się imion z cmentarzy,
Zanim je pługiem się zatrze,

Zachłyśnij się pyłem Woli,
Czerwonym kurzem z Powiśla,
Rozetrzyj na zębach cegłę
Z ruin Krakowskiego Przedmieścia.

Napij się wody z kanałów,
Byś wiedział i nie zapomniał,
Że jesteś dziś niewypałem
Z Sierpniowych dni krwi — i ognia.

Że explodować musisz
Nową, strzelistą Warszawą,
Co płynie nocą tratwami
Snów Tych, co leżą pod trawą...

Mieczysław Ubysz

Salut

Najpierw dławić milczeniem, potem śpiewem kłamać
I sercom srebrnym skrzydłem nowe wiary dzwonić,
To Honor wasz i nasza obłąkana Sława
I krzyk wyjący grozą nad braterstwem broni.

Przyjdźcie Władcy świata. Uderzcie w surmy,
By słuchać naszych kości suchego raportu,
Tysiąc armat zahuczy ponad wiekiem trumny
I milion urn popłynie do dalekich portów.

Zostawcie proch i zgłiszczą. Droga za daleka.
Niech kość polskiemu niebu raportem chrzęści,
Na ukłon wasz braterski w generalskich czakach
Odpowiadam salutem zaciśniętej pięści.

W kraju

WROCLAWSKIE UROCZYSTOŚCI

W okresie otwarcia Wystawy Ziem Odzyskanych odbył się we Wrocławiu Kongres Zjednoczeniowy Młodzieży, do której Prezydent Bolesław Bierut wygłosił specjalne przemówienie.

Prezydent Bierut omówił korzyści, jakie młodzież i społeczeństwo polskie ma wynieść ze zjednoczenia organizacji ideowo-wychowawczych. W dalszym ciągu przemówienia mówca określił zadania ciężące na współczesnym pokoleniu. Między innymi powiedział:

„Jest to zadanie wyrównania jak najszybciej kilkudziesięcioletniego zacofania w rozwoju gospodarczym i kulturalnym naszego kraju w porównaniu z przodującymi krajami. Jest to zadanie rozbudowy naszego przemysłu, przekształcenie Polski z kraju wytwarzającego głównie surowce i produkty rolne, w kraj produkujący nowoczesne, precyzyjne maszyny, narzędzia i aparaty, ułatwiające pracę człowieka, podnoszące wielokrotnie wydajność jego wysiłku. Nie można tego osiągnąć bez opanowania nowszych zdobyczy wiedzy, bez przyswojenia sobie nowoczesnych metod produkcji, nowoczesnych postępów nauki i techniki. Nie można tego osiągnąć bez rozbudowy naszej metalurgii, bez nowych wielkich zakładów hutniczych, bez nowych potężnych zakładów przemysłu chemicznego, bez intensywniejszego wykorzystania naszych źródeł i baz energetycznych, bez przekształcenia naszych bogactw i zasobów węglowych w energię elektryczną, bez rozbudowy naszych kolei i portów, bez uszlachnienia naszych rzek.

Nie można wyrównać zacofania bez unowocześnienia naszego rolnictwa, bez znacznego podniesienia poziomu kultury agrotechnicznej, bez zaopatrzenia go w nawozy, maszyny, nowoczesne narzędzia rolnicze, bez mechanizacji i usprawnienia dzisiejszej ciężkiej pracy rolnika, bez wydawnego pomnożenia plonów tej pracy. Nie można unowocześnić rolnictwa bez rozbudowy produkcji traktorów, samochodów i najnowszych maszyn rolniczych, bez elektryfikacji wsi, bez ulepszenia nawierzchni dróg i transportu. Niepodobna tego uczynić bez likwidacji wielowiekowego zacofania i ciemnoty, bez usuniecia istniejącej przepaści między poziomem życia wsi i miasta, bez wielkiej rewolucji kulturalnej, bez wydawnego podniesienia dobrobytu, wiedzy i kwalifikacji całego ludu pracującego.

Cóż trzeba czynić, aby wykonać tak olbrzymie zadania?

Trzeba po pierwsze: uczyć się, uczyć i uczyć! Czerpać z całej chłonnością młodego umysłu i młodego serca z wielkiej skarbnicy wiedzy ludzkiej. Codzienną pracą, wytrwałością, hartem zdobywać krok za krokiem coraz wyższy i wyższy poziom wykształcenia. Nie zrażać się trudnościami. Nie tylko w szkole, ale i w domu, nie tylko indywidualnie, w samotności, ale i zbiorowo, w zespole, w organizacji, w płodnej wymianie myśli poznawać prawa rządzące przyrodą i życiem społecznym człowieka, sięgać myślą ku prawdzie, docierać do prawdy śmiało i wytrwale. Tylko przy takim stosunku do wiedzy można zdobyć nowoczesne wykształcenie zawodowe i społeczne, uzyskać wysoką kwalifikację, zostać świadomym i wartościowym współtwórcą lepszej przyszłości Polski.

Trzeba — po drugie — pomagać sobie wzajemnie. Przecież cały swój rozwój od stanu dzikości i barbarzyństwa aż do szczytów cywilizacji człowieka zawdzięcza więzi społecznej wspólnej pracy i walce o opowanie sił przyrody, walce społecznej o coraz doskonalszy i sprawiedliwszy ustrój.

Trzeba więc kształcić we własnym sercu i wychowywać wśród otoczenia poczucie więzi społecznej, zasady współdziałania i solidarności, obowiązek pomocy wzajemnej w nauce, w pracy, w organizacji, w życiu praktycznym i w walce o przyszłość kraju, o sprawiedliwość społeczną. Szlachetne uczucie patriotyzmu, rodzące przepiękne czyny bohaterstwa — to właśnie głęboko odczuwa więzi społeczna i narodowa świadomość obowiązku pomocy wzajemnej i współdziałania w obronie wolności swego kraju.

Trzeba wreszcie kształcić w sobie i w innych siłę charakteru, hart ducha ofiarności i wolę do walki o sprawiedliwość społeczną. Nie podobna wypełnić wielkich zadań społecznych, o których mówiłem, bez wytrwałej pracy nad samym sobą, bez ugruntowania zasad moralności, opartej na sprawiedliwości społecznej i solidarności, bez zahartowania swej siły woli i charakteru.”

W dniu 1-go sierpnia br. o godz. 9-ej odbędzie się w kościele Św. Krzyża nabożeństwo żałobne za duszę poległych żołnierzy A.K.

27 Dywizji Piechoty Woł.

o czym zawiadamiają koledzy

W dniu 1-go sierpnia br. o godz. 9-ej odbędzie się w kościele Św. Krzyża nabożeństwo żałobne za duszę poległych żołnierzy A.K.

B. D. Broda 53

o czym zawiadamiają koledzy

Leon Wojciechowski

WSPOMNIENIA „ENISTY“

O nieuchronnym konflikcie zbrojnym ZSRR z III Rzeszą wiedzieli w czasie drugiej wojny światowej nie tylko politycy, czy generałowie, ale i jako tako uświadomieni obywatele.

Wiedzano o tym i w Polsce, zdając sobie dokładnie sprawę i z tego, że dopiero udział Związku Radzieckiego w wojnie zadecyduje o losie Niemiec hitlerowskich. Wiedzano również i o tym, że powstanie Frontu Wschodniego da Polsce Podziemnej właściwe warunki do walki z okupantem.

O tym wszystkim polskie organizacje podziemne, działające już od września 1939 r. — wiedziały i były na ten nowy etap walki całkowicie przygotowane psychicznie.

Chodziło w tych oczekiwaniach na wojnę sowiecko - niemiecką i o przygotowanie innych jeszcze elementów. Chodziło mianowicie o moment przygotowania się organizacyjnego, technicznego i bojowego zarówno na odcinku sabotażu, dywersji, jak i czynnej partyzantki, czy dywersji moralnej, propagandy frontowej i zafrontowej. To też termin zbrojnego starcia między ZSRR i Niemcami, jako punkt zwrotny w dziejach Polski Podziemnej — był pilnie śledzony i wiele nadziei w nim pokładano. Dużą wagę do tego zagadnienia przywiązywał Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), który nie tylko, że w okresie — 1939 — 1941 roku był najmniejszą o typie wojskowym organizacją konspiracyjną w kraju, ale który przede wszystkim był kierowany przez sztab generała Wł. Sikorskiego i emigracyjny rząd w Londynie. Poza tym w roku 1941 — ZWZ „taktycznie” podporządkował sobie już prawie wszystkie organizacje tak zwane bojowo-niepodległościowe, to jest grupy konspiracyjne, niezwiązane oficjalnie z żadnymi partiami przedwrześniowymi, ani opozycyjnymi, ani reżimowymi — a stawiające sobie jako jeden jedyny cel swej pracy w konspiracji zbrojną walkę z Niemcami.

Ponieważ cel ten oficjalnie głosił i ZWZ, przeto nie dziwnego, że ciążenie tych formacji do ZWZ było zupełnie naturalne i duże. Zw. Walki Zbrojnej dysponował więc nie tylko własnymi kadrami, ale i całym wachlarzem satelitów. Czuł się przeto zdolnym do odegrania w walce z Niemcami głównej i decydującej roli. Rozumienie przez Sztab generała Grotta (St. Roweckiego), a szczególnie przez niego samego roli wojny sowiecko - niemieckiej, było słuszne i wojskowo i politycznie, i gdyby to stanowisko gen. Grotta zostało utrzymane przez cały ciąg konspiracji — wyszłoby to tylko Polakom i Polsce na dobre. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Gotowość ZWZ do wykorzystania konfliktu zbrojnego ZSRR z Niemcami w całej pełni przy końcu 1940 roku była faktem niezaprzeczalnym.

Dlatego też, gdy w styczniu 1941 r. stało się jasnym, że dzień wybuchu wojny rosyjsko - niemieckiej jest niedaleki — rozpoczęto już konkretne przygotowania w ZWZ do wykorzystania tej nowej sytuacji.

Przygotowania te poszły w dwóch kierunkach:

1) Przygotowań dywersyjno-sabotażowo-partyzanckich akcja „W” („Wachlarz”).

2) Przygotowań sabotażowo - dywersyjnych akcja „N” (niemieckie wydawnictwa antyhitlerowskie).

O sprawie pierwszej (która nie jest tematem niniejszych wspomnień pisać będzie przy innej okazji).

Bazy akcji „W” były wykorzystywane poza sabotażem technicznym, dywersją i partyzantką i do innych czynności, mianowicie do kolportażu na terenie przyfrontowym i frontowym dywersyjnych druków antyhitlerowskich, wydawanych przez Komendę Główną ZWZ (a później AK) — tak zwanych wydawnictw „N” (niemieckich).

Konieczność działalności propagandowej wśród wojska, administracji i ludności niemieckiej była bra na pod uwagę przez Komendę ZWZ od samego początku.

Na brak konkretyzacji tych zamierzeń wpływał przede wszystkim fakt, że zdawano sobie sprawę, iż żołnierz armii zwycięskiej nie jest podatnym materiałem dla prac propagandy dywersyjnej. Dopiero wybuch wojny niemiecko - radzieckiej, z perspektywą ustawicznego wyczerpywania się zasobów siły fizycznej i gospodarczej Niemiec hitlerowskich, był odpowiednim momentem do zorganizowania antyhitlerowskiej propagandy wśród Niemców na szeroką skalę.

Stała się przeto akcja „N” owym drugim elementem w działaniu ZWZ, działaniu, związanym konkretnie z wybuchem wojny ZSRR z Niemcami i konsekwencjami tej wojny dla trzeciej Rzeszy.

Akcja „N” opierała się na doświadczeniach I wojny światowej, kiedy to propaganda państw koalicyjnych, pozostająca pod kierownictwem lorda Northcliffe'a — skrociła — co najmniej o pół roku działania wojenne. Jak wiadomo bowiem z historii I Wojny Światowej, głównodowodzący wojsk koalicyjnych, marszałek Foch, planował generalną ofensywę na Niemcy dopiero na wiosnę 1919 roku. Wcześniejsze załamanie się moralne armii i ludności niemieckiej według zresztą zupełnie zgodnej opinii Hindenburga i Ludendorfa, Focha, Clemenceau i Loyd-George'a, przypisuje się akcji propagandowej Northcliffe'a.

Tutaj zapewne leży źródło owej troski ze strony Hitlera, aby w II-giej Wojnie Światowej, armia i ludność niemiecka nie narzekała na brak opieki propagandowej.

Nie bez wpływu zapewne na powzięcie decyzji o akcji „N”, był i fakt, że Komendant Główny ZWZ, generał Grot - Rowecki wielką wagę przykładął do użyteczności propagandy w konspiracji i na wojnie. Większość ludzi w Polsce, interesujących się przed wojną, czy obecnie problemami wojskowymi — wie na pewno, że generał Rowecki był znaczącą walk ulicznych. Jego podreżnik był do września 1939 roku jedyną pracą polską w tym zakresie. Na przedwojennym podreżniku gen. Grotta uczyli się walki ulicznej nie tylko oficerowie i żołnierze AK, ale i AL, i BCH i wszyscy inni, którzy przygotowywali się do walki zbrojnej z Niemcami. Natomiast prawdopodobnie niewielu zna ny jest fakt, że gen. Grot-Rowecki był w naszej armii przedwrześniowym jej jedynym oficerem, zajmującym się propagandą, w sposób naukowy, fachowy. Przed samą wojną w 1939 roku gen. Rowecki wydał poświęconą temu zagadnieniu specjalną rozprawę. Uważał on, zgodnie z poglądem wielu wybitnych naukowców i wojskowych, propagandę wojenną za nowy rodzaj broni, za nowy oręż którym umiejscowienie prze-

prowadzona walka — da pozytywne rezultaty. Jego też nastawieniu należy w dużej mierze przypisać, iż propaganda ZWZ, a później AK była właściwie „pierwszą linią walki” z najeżdżącą narówni z sabotażem, dywersją i partyzantką.

Założenie w sprawie użyteczności propagandy wojennej, a więc akcji „N”, opierało się na następującym aksjomacie:

Współczesne wojny, prowadzone są na trzech płaszczyznach równocześnie i z jednakową siłą. Zwycięstwo nie musi być koniecznie sumą odniesionych sukcesów w każdej dziedzinie.

Płaszczyzną pierwszą — to pole walki, front, gdzie dwie wrogie sobie armie dążą do wyniszczenia za wszelką cenę sił żywych przeciwnika i zniszczenia jego bojowego sprzętu (wyposażenia), w celu uzyskania nad wrogiem przewagi fizycznej.

Płaszczyzną drugą, to ekonomika, finanse, surowce, przemysł i siła robocza, jednym słowem produkcja. Walka w tej dziedzinie rozgrywa się na zapleczu frontów, w głębi krain, tak w państwach wrogich jak i neutralnych na szlakach komunikacyjnych powietrza, ładu i morza, w kopalniach, hutach i fabrykach, na roli czy w biurach. Sabotaż techniczny, przemysłowy, transportowy z jednej strony, a z drugiej wydajność pracy, oszczędność, racjonowanie aprowizacyjne itd. pozwala uzyskać przewagę gospodarczą nad przeciwnikiem.

Ale zarówno wyniki z dziedziny pierwszej, jak i drugiej są uzależnione od czynnika nie do zastąpienia niczym innym, żadnym „ersatzem”, ani organizacją, czy zapasami w magazynach — zależne są te dwie dziedziny od człowieka, jego woli walki i zwycięstwa, czy rezygnacji i apatii. Walka o przewagę duchową nad wrogiem jest trzecią płaszczyzną, na której toczy się, rozgrywa nowoczesna wojna. Walka o „duszę” żołnierzy decyduje o klęsce czy zwycięstwie.

Jak widać więc, teoretyczne uzasadnienie akcji „N” było i poważne i pociągające. To też przystąpiono do jej zmontowania w trybie długofalowym i ostrożnym.

Pierwszym pociągnięciem w tej dziedzinie był zakaz wydawania pism antyhitlerowskich w języku niemieckim, robionych „amatorsko” od 1939 roku przez Irenę Szydłowską i towarzyszy.

Na początku 1941 roku, kiedy to już pewnym się stało, że niedaleki konflikt ZSRR z Niemcami jest nieunikniony, i kiedy zaczęły pojawiać się pomysły akcji „N”, stało się jasną sprawą, że działalność „N” musi być przygotowana odpowiednio zarówno pod względem personalnym, jak i technicznym. Zdawało sobie sprawę z tego, że „N” nie może być żadnym przedłużeniem, „dalszym ciągiem” jakiegokolwiek z dotychczasowych akcji. A ponadto akcja „N” musi być dobrze zakonspirowana nie tylko w stosunku do Niemców, ale własnych żołnierzy z konspiracji, odznaczających się, jak wiadomo, obok niezliczonych cech dodatnich, jedną nagminną polską przywarą, w konspiracji — niepowstrzymanym przez nikogo gadulstwem.

Dlatego, mimo pozytywnej oceny dotychczasowej pracy Ireny Szydłowskiej na odcinku wydawnictw antyhitlerowskich w języku niemieckim — akcję tę z rozkazu Komendy Okręgu Warszawskiego ZWZ, przerwano, aby nie obciążać „dziedzicznie” — „N”.

Wprowadzie jeden z działaczy „N” — „Kowalik” kontaktował się w fazie likwidowania prac z I. Szydłowską, ale chodziło tutaj nie o przejęcie inicjatywy, lecz o ustalenie dotychczasowej efektywności roboty tego rodzaju wśród żołnierzy i ludności niemieckiej.

Organizacyjne i personalne przygotowanie akcji „N” trwały dosyć długo, bo od maja 1941 r. aż prawie do samego Powstania Warszawskiego w 1944 r. Na takie tempo złożyło się wiele przyczyn, jak technika konspiracyjna, stopniowe narastanie natężenia samej pracy, brak odpowiednich elementów informacji, czy kolportażu — a w pierwszym rzędzie odpowiednich, fachowo przygotowanych ludzi, znających nie tylko zasady konspiracji, ale przede wszystkim atmosferę, organizację, psychologię itd. żołnierzy niemieckich, taktykę propagandy Gobbelsa, linię polityczną Hitlera, jego sympatie i antypatie do generałów niemieckich itd. — ludzi, którym pokazując początek alfabetu — stawia się jednocześnie warunek odszyfrowania nie tylko całego alfabetu, ale wielotomowego dzieła.

Jasną rzeczą było, że w „N” mogą pracować, szczególnie w jego dziale produkcyjnym, redakcyjnym, tylko ludzie, znający na wylot zasady propagandy.

Tych „specjalistów” od propagandy w Polsce przed 1.9.1939 r. na palcach można by zliczyć. W konspiracji było ich może mniej jeszcze. Ale robota robota, więc trzeba było wziąć tych ludzi, co byli pod ręką, z tym, że resztę, jak Bóg da, wychowa się i podkształci później, ewentualnie znajdują się może sami, inni, dotychczas jeszcze nieznanymi.

Pierwsza obsada działu „N”, który organizacyjnie wchodził w ramy VI oddziału Sztabu Komendy Głównej ZWZ (AK), była nieliczna. Były to bowiem tylko 4 osoby: 1) „Kowalik” (T. Zencykowski). 2) „Notecki” (J. Kawczyński). 3) „Ela” (I. Rzepecka). 4) „Kowalczyk” (Z. Ziółek).

Przydzielenie „Eli” do akcji „N” należy potraktować jako specjalną troskę o dobrą łączność i sprężyste kierownictwo tej komórki ze strony szefa VI oddziału Sztabu Komendy Głównej ZWZ (AK) „Prezesa” (pułk. J. Rzepeckiego). „Ela” była żoną „Prezesa”. Umarła w Oflagu po Powstaniu Warszawskim.

Podział funkcji tej czteroosobowej ekipy był następujący: „Kowalik” miał zajmować się techniką pracy (drukarnia, kolportaż itd.) oraz nadzorem ogólnym, „Kowalczyk” — produkcją, redakcją, „Notecki” — nadzorem językowym i literackim (styl itd.), a w razie potrzeby tłumaczeniem na niemiecki polskich rękopisów lub produkcją redakcyjną. „Ela” miała zorganizować i kierować łącznością do „góry” na „Prezesa”, w „poziomie” między „Enistami”, w „dół” do innych działów lub osób.

Pierwsze zebranie „robocze” ekipy „N” odbyło się około 25 maja 1941 r., na którym ustalono plan tzw. „Akcji Rudolf Hess”.

Jak wiadomo zastępca Hitlera w NSDAP i minister Stanu III Rzeszy Rudolf Hess 20 maja 1941 r. na specjalnym samolocie udał się do Anglii, aby namówić W. Churchill'a do zawarcia pokoju z Niemcami i wspólnej wojny przeciwko ZSRR. Anglicy, po wyładowaniu Hessa na wyspie, internowali go, a po wojnie oddali pod sąd w No-

W świetle...

PALESTYNA

Po raz pierwszy w ciągu swego istnienia Rada Bezpieczeństwa ONZ większością głosów uznała sytuację w Palestynie za groźbę dla pokoju światowego oraz wezwała Żydów i Arabów do przerwania działań wojennych w ciągu trzech dni, a w Jerozolimie w ciągu 24 godzin. W zasadzie Żydzi i Arabowie uznali tym razem autorytet ONZ, — i nastąpił rozejm. Na poszczególnych odcinkach trwały jeszcze czas jakiś bitwy, ale w zasadzie strony walczące poczęły zdawać poszczególne odcinki frontu pod nadzór przebywających obserwatorów z ramienia Rady Bezpieczeństwa. Fakt, iż Arabowie zaakceptowali rezolucję ONZ wynika z lekkiej zmiany frontu polityki brytyjskiej (m. in. osławiony gen. Glubb Pasza podał się do dymisji), i jest niewątpliwie wielkim zwycięstwem Izraela.

KRYZYS FRANCUSKI

Rząd Schumana wobec sprzeciwu Parlamentu francuskiego pragnącego uchwalić większą redukcję kredytów wojskowych aniżeli przewidywał projekt rządowy — podał się do dymisji. Przeciwno projektowi rządowemu głosowali posłowie SFIO (socjaliści) zgodnie z zaleceniami swego Kongresu Partyjnego. Premier postawił kwestię zaufania — i przegrał sprawę. Oznacza to silny cios dla autorytetu „trzeciej siły” we Francji opartej o współpracę MRP i SFIO. Utworzenie nowego rządu powierzył Prezydent Auriol radcykowi Andre Marie dotychczasowemu ministrowi sprawiedliwości. Kandydat na premiera zapowiada dość interesujące zmiany w rządzie — idące po linii osłabienia MRP na rzecz radykałów i SFIO.

BERLIN

PRASA na zachodzie wiele pisze o konieczności wycofania się Anglosasów i Francuzów z Berlina, ale w ostatnim czasie nie zaszły żadne zasadnicze fakty przyspieszające ten fakt polityczny. Przynajmniej ze strony Anglosasów, gdyż ZSRR zagrało w kryzysie berlińskim kartą ważną nadzwyczaj. W pewnych sytuacjach bodaj zasadniczą. Ofiarowała się żywić całą ludność berlińską. Została dozwolona w sklepach sektora radzieckiego sprzedaż artykułów spożywczych dla mieszkańców całej reszty Berlina. Ponadto ZSRR ofiarował się dostarczyć węgiel, prąd i surowiec do fabryk sektorów państw zachodnich.

ZAMACHY

Ledwo przebrzmiało echo strzałów wymierzonych do Togliattiego, ledwo strejk generalny został we Włoszech odwołany a sam sekretarz włoskiej partii komunistycznej powoli przychodzi do zdrowia echo nowych zamachów targnęło opinią publiczną.

Sekretarz japońskiej partii komunistycznej postrzelony został w umyślnym zamachu. Jednocześnie ogłoszono, że 10 lipca w Budapeszcie zdarzyła się historia zupełnie niecodzienna, szczególnie w dyplomacji. Jugosłowiański atache prasowy odwiedził Przywódcę Demokratycznego Związku Słowian Południowych (więc swego rodaka — dlaczego żyjącego w Budapeszcie na emigracji?) Mele Mitosa w jego mieszkaniu i w wyniku sprzeczki zastrzelił Mitosa. Poczem ukrył się na terenie ambasady. Zabójca było ukoronowaniem burzliwej rozmowy na temat stanowiska Biura Informacyjnego, najwidoczniej popieranego przez zamordowanego. Zabójca - dyplomata ukrył się na terenie ambasady jugosłowiańskiej w Budapeszcie, która odmówiła jego wydania.

ARESztOWANIE W USA

W USA aresztowani zostali wszyscy przywódcy partii komunistycznej oraz wielu innych członków partii komunistycznej.

rymberdze, który skazał Hessa na dożywotnie więzienie. Po otrzymaniu informacji o niefortunnej wyprawie Hessa do Wielkiej Brytanii — Hitler ogłosił komunikat, w którym stałego swego zastępcę i właściwego kierownika NSDAP uznał za wariata. Wiadomo było, że tak z dnia na dzień Hess nie zwariował. To też zamieszanie wśród Niemców było duże, szczególnie na terenie GG, w tym czasie przeładowanej już oddziałami SS i Wehrmachtu.

Postanowiono przeto w „N” to wyraźnie zdezorientowanie wśród członków NSDAP i innych Niemców wykorzystać w ten sposób, żeby przedstawić Rudolfa Hessa, jako przeciwnika wojny z ZSRR, który montował w NSDAP frakcję na wzór kpt. Röhma z 1934 roku — pod szyldem „NSDAP Erneuerungs-Bewegung” (NSDAP — E. B.), a wysłedzony przez Himmlera uciekł z Niemiec do Anglii. Prawdopodobieństwo tej tezy „N” było duże, gdyż zarówno członkowie partii hitlerowskiej, jak i inni, stykając się często z Hessem nie zauważyli nigdy skłonności u niego do wariactwa. Poza tym między sprawą Hessa w wersji „N”, a działalnością Röhma była duża analogia. Zarówno Röhm w swoim czasie, jak w r. 1941 Hess, były to prawe ręce Hitlera. Röhma Hitler zlikwidował morderstwem, mógł więc chcieć zlikwidować i Hessa. Röhm, „prawa ręka” Führera rzeczywiście montował opozycję antyhitlerowską w NSDAP w r. 1934, dlaczego miał tego nie zrobić Hess?

Opierając się więc na powyższym schemacie argumentacyjnym na start działalności „N” wybrano sprawę Hessa.

„Kowalczyk” zredagował odpowiednie wezwanie do członków NSDAP i narodu niemieckiego, w którym plan Hitlera zaatakowania ZSRR określono jako samobójstwo — po pierwsze dlatego, że walkę należy prowadzić na dwa fronty (Wschód i Zachód), a po drugie, że ZSRR jest nie do pokonania na skutek rozciągłości swego terytorium (co zemściło się już na „Hitlerze XIX wieku” — Napoleo nie), po trzecie zarówno narody Związku Radzieckiego, jak i przemysł radziecki — stanowią elementy siły, której Niemcy nie zdołają zwyciężyć.

Odezwe tę zakończono: „Heil Hess” NSDAP Erneuerungs-Bewegung, wzywając na zakończenie do zakładania w szeregach NSDAP — komórek konspiracyjnych do walki z obłędem wojny na rzecz pokoju.

Tekst tej pierwszej — bardzo za sadniczej i olbrzymiej publikacji — był gotów w pierwszej dekadzie czerwca 1941 r. Gorzej było z drukarnią i kolportażem. Zrazu chciało wydawnictwo „N” składać czcionką „gotycką”. Nie można jej było jednakże w dostatecznej ilości nigdzie znaleźć. Z konieczności więc poprzestano na czcionce „łacińskiej”, jaka była do dyspozycji w drukarniach ZWZ — późniejszych „Tajnych Wojskowych Zakładach Wydawniczych” („akowskim” podziemnym „truście” poligraficznym).

Z braku własnej sieci kolportażowej w roku 1941 i 1942 do tej pracy, której charakter polegał przede wszystkim na „podrzucaniu” do pociągów i samochodów, idących na Wschód, pakietików z bibułą „N” — użyto więc żołnierzy tzw. „małego sabotażu” (opisanego przez A. Kamińskiego w „Kamieniach na szaniec”) z oddziałów harcerskich „Wawer” i „Palmiry” (od których imiojałów powstał znak Polski Podziemnej „P. W.” — „Polska Walcząca” w formie kotwicy) — a przede wszystkim żołnierzy dwóch organizacji bojowo-niepodległościowych, podporządkowa-

nych taktycznie ZWZ — żołnierzy „Związku Odrodzenia Rzeczypospolitej” (ZOR) i „Polskiego Związku Wolności” (PZW).

Późniejsza organizacja kolportażu „N” oparła się również na tych trzech rezerwach ludzkich i ich bazach organizacyjnych.

„Akcja Hess” prowadzona była do 1942 roku.

Odezwy w imieniu NSDAP E. B. czy Rudolfa Hessa w dalszym ciągu komponował „Kowalczyk”.

O skuteczności akcji „Rudolf Hess” wśród Niemców może najlepiej posłużyć sukces roboty komórki „N” w Komendzie ZWZ w Łodzi. Pod koniec 1941 r. Łódzki „Enista” w myśl wezwań odezwy „R. Hessa” rozesłał wśród wybitniejszych Niemców w Łodzi poufne zaproszenia imienne na narady, raz u jednego, drugi znowu raz u innego hitlerowca. Niemcy, sądząc, że zaproszenia te rzeczywiście pochodzą od osób podpisanych na listach, zbierali się, deliberowali nad sytuacją. I tak doszło do powstania w Łodzi rzeczywistego koła NSDAP - Erneuerungs-Bewegung”, wysłedzonego przez Gestapo Łódzkie.

Ale szybko zdano sobie w „N” sprawę, że dywersja moralna, jak każda dobra propaganda, musi dla osiągnięcia swego celu drukować możliwie dużo wydawnictw periodycznych (ulotek, odezwy, broszury itd.) o szerokim wachlarzu zainteresowań, w rozmaitych szatach zewnętrznych, graficznych itp. Różnorodność tematyczna, graficzna i na kładowa tych wydawnictw dawała tylko — zresztą jak zawsze w propagandzie — szansę sukcesu.

Dlatego też od razu po puszczeniu akcji „N” w ruch przystąpiono do poszerzenia składu osobowego działu „N”, jak i powiększenia ilości wydawnictw.

Jako pierwsze z wydawnictw periodycznych „N” ukazał się w lecie (początek lipca) miesięcznik „Der Soldat”.

Pismo to redagował sobowtór Hessa w „N” „Kowalczyk”. Pierwszeństwo tego pisma przed innymi uzasadnione było tym faktem, że początkowo jedynym terenem działania „N” było wojsko, a jedynym kolportażem „podrzuty” do wagonów i samochodów Frontu Wschodniego.

Warto tutaj zaznaczyć, że wszystkie druki „N” były w wojsku niemieckim popularne. Znany był wśród „Enistów” w Warszawie feldfelbel z „Kraftfahrparku” na ul. 6-go Sierpnia, który zabiegał sam o druki „enowe”, wysyłał je na Front Wschodni samochodami po remoncie, twierdził, że za „enki” koledzy przysyłają mu z frontu kury, sery i masło.

Stwierdzono również, że za broszurę „N” „Der grösste Lügner der Welt” (na okładce z podobizną W. Churchilla) oficerowie niemieccy płacili po 50 RM.

Kolportaż „Enek” w swym szczytowym nasileniu obiegł nie tylko Wschód, ale Bałkany, Austrię, Niemcy, Francję i Norwegię — „Enki” można było spotkać zarówno pod Taganrogiem, jak w Belgradzie, Wiedniu, Strassburgu i Oslo.

Ale wróćmy do pierwszego periodyku „N”, miesięcznika „Der Soldat”.

„Der Soldat” miał — jak odezwy „Hessa w szeregach NSDAP” — świadczyć o istnieniu Wehrmachtu — konspiracji wojskowej, wrogiej Hitlerowi, NSDAP, Gestapo i SS. Szybko zorientowano się w „N”, że na młody element Wehrmachtu nie ma co liczyć, gdyż na równi z oddziałami SS jest przetrząty jadem hitlerizmu i ślepego oddania dla Führera. Wówczas zmieniono pismo „Der Soldat” — na „Der Frontkämpfer”. Redakto-

rem „Der Frontkämpfer” był w dalszym ciągu „Kowalczyk”. Przez zmianę tytułu pisma, wyodrębniono z całej masy żołnierzy, których wyrazem był „Der Soldat” — tylko „żołnierzy frontowych” (Der Frontkämpfer — bojownik frontowy) oraz oficerów jeszcze z „Weltkriegu”, z pierwszej Wojny Światowej. Przy takim ujęciu problemu antyhitlerowskich żołnierzy — było większe prawdopodobieństwo ich negatywnego stosunku do wojny i NSDAP, niż na drodze ryczałtowych apeli do całej armii Hitlera.

W „Der Frontkämpfer” niezależnie od zasadniczych artykułów, czy informacji kontynuowano jeszcze dwie z „Der Soldat” sprawy: typowania generałów, wrogich Hitlerowi na szefów rewolucji antyhitlerowskiej oraz publikowanie reportaży i dokumentów z życia i praktyk SS i działaczy NSDAP („Partei-bonzen”) poza frontem, na etapach i w „Heimat”.

Pierwszy wytypowany szef żołnierskiego antyhitlerowskiego sprzy siężenia, gen. Von Reichenau („Der Soldat” zamieścił nawet na pierwszej stronie jego fotografię) w dwa tygodnie po rozkolportowaniu tego numeru został wezwany do Głównej Kwatery Hitlera, by „umrzeć na serce” w pociągu z kwatery Hitlera do swych oddziałów.

Podobizna gen. von Reichenau ukazała się z datą 15.12.1941 r.; do 31.12.1941 r. rozkolportowano ten numer, a 14.1.1942 r. „OKW” ogłosiło komunikat o śmierci wodza rewolucji „N”.

Trzeba tutaj zaznaczyć, że ten sukces „N” odbił się dużym echem zagranicą, w szczególności w Anglii, u Brytyjczyków. Nie tylko, że przeprowadzono na ten temat szereg radiowych rozmów Londynu z krajem, lecz ponadto musiano posłać na Wyspy Brytyjskie „okazowy” numer z gen. von Reichenau.

Następni ulubieńcy „Der Frontkämpfer” plk. Mölders, as lotniczy, gen. Udet, gen. Jeschonek — ginęli niemniej głośno, niż Reichenau, bo w katastrofach.

Gen. von Bock, typowany po gen. von Reichenau na antyhitlerowca, obejmował i składał dowództwa, jak w teatrze na przedstawieniu. Marszałek Witzleben również z galerii „wodzów” „N”, został ścięty w lipcu 1944 r. po nieudanym puczu antyhitlerowskim.

Reportaże z życia „Partei-bonzen” w krajach okupowanych lub oficerów SS na etapach — z podaniem nazw miejscowości, nazwisk, funkcji czy stopni swym autentyzmem świadczyły o prawdziwości informacji.

Drugim periodykiem „N” był „Der Hammer”, który ukazał się w końcu lipca 1941 r.

Redaktorem „Der Hammer” był „Zelga” (St. Smoleński).

O ile „Der Soldat” i „Der Frontkämpfer” były przeznaczone dla żołnierzy, o tyle „Der Hammer” miał obsługiwać socjal - demokratyczną opozycję antyhitlerowską, ale cywilną.

Kolportaż „Der Hammer” — był obliczony raczej na III Rzeszę, a nie na front. Szybko jednak zorientowano się, że socjal - demokratów w Hitlerii nie ma ani na lekarstwo: wobec czego gazetka konspiracyjna o tak mocnej nazwie (der Hammer — młot) z daleka pachniała „lipą warszawską”. Dlatego pod koniec wiosny 1942 r. zmienia się „Der Hammer” na „Der Durchbruch” (Przełom), „Zelga” zmienia pseudonim na „Jarosz” i redaguje pismo dalej.

„Der Durchbruch” ma dosyć miękki profil ideologiczny, akcentuje tylko mocno polityczną i społeczną wrogość w stosunku do NSDAP i Hitlera, kokietując zarówno niemieckie mieszczaństwo jak i robotników czy katolików.

Na „Prima Aprilis” 1942 r. wydano „extra Blatt” pod tytułem „Erika”. Była to jednodniówka satyryczna, ilustrowana. Redaktorem tego wydawnictwa był „Zelga”, ry sunki „Miedzy” (Stanisława Tomaszewskiego).

W trosce o rozszerzenie środków oddziaływania na żołnierzy w lecie 1942 r., komórka „N” rozpoczęła wydawać nowe wielobarwne ilustrowane pismo satyryczno - humorystyczne, pod nazwą „Der Klabautermann” (chochlik marynarski, zwiastujący nieszczęście, termin z gwary marynarskiej). Pismo redaguje początkowo „Zelga”, a po jego aresztowaniu „Kozakiewicz” (prof. K. Kumaniecki), który po „Zeldze” do spółki z „Sobocińskim” (Antoni Kawczyński) „dziedziczy” i pismo „Der Durchbruch”.

„Kozakiewicz” wchodzi do „N” w lipcu 1942 r. na miejsce i funkcję aresztowanego w czerwcu „Notckiego”.

„Sobociński” do aresztowania „Zelgi” był w „N”, lecz w sekcji tłumaczy.

„Der Klabautermann” poza rysunkami (w dalszym ciągu „Miedzy”) i witzami politycznymi, nie gardził również i pornografią. Może dlatego wszedł na rynek niemiecki, najlepiej ze wszystkich pism „N”.

W lecie 1942 r. ukazuje się nowy miesięcznik „N” pt. „Die Ostwache” („Straż na Wschodzie”) przeznaczony dla administracji i ludności niemieckiej w Generalnej Gubernii. Pierwszym redaktorem był „Skład” (Teofil Wrona) aresztowany razem z „Zelgą” i rozstrzelany. Redaktorem następnym był „Jaskółski” (M. Dunin-Borkowski).

ostatnim periodykiem produkcji „N” był miesięcznik „Die Zukunft” („Przyszłość”), wydawany w języku polskim dla Volks- i Stamm-deutschów.

Pismo to redagowała „Nowicka” (Halina Auderska).

A więc przez cały czas swej działalności od maja 1941 r. do października 1944 r. (tj. daty kapitulacji Powstania Warszawskiego) w ramach akcji „N” wydawano — 3 periodyki dla żołnierzy („Der Soldat”, „Der Frontkämpfer” i „Der Klabautermann”), 2 periodyki dla ludności cywilnej w samej Rzeszy („Der Hammer” i „Der Durchbruch”) oraz 2 periodyki dla Niemców i Volksdeuschów w GG („Die Ostwache”, „Die Zukunft”). Co dwa tygodnie regularnie wychodziły te pisma z drukarni.

Niezależnie jednakże od czasopiśmie, jednodniówek pt. „Erika” czy „Akcji Hess” w okresie wspomianej działalności „N” wydano jeszcze cały szereg ulotek, wskazówek dla markierantów, urlopników, chorych itd. Wydano również parę broszur, z których pod względem propagandowym najlepsze były dwie: „Der rote Terror”, obrazująca terror hitlerowski i „Der grösste Lügner der Welt”, demaskująca kłamstwa Hitlera. Specjalistą od broszur był „Ozóg” (J. Ferenc).

Dział redakcyjny „N” od 1943 r. poza drukami niemieckimi wydał jeszcze szereg odezwy w języku słowackim, francuskim, włoskim i węgierskim do oddziałów tych narodów, wspomagających Hitlera.

Warto zaznaczyć przy wydawnictwach akcji „N” jeszcze następujące sprawy, jak wydawnictwa różnych „kół pułkowych” (konspiracyjnych), nawołujących swych kolegów do walki z NSDAP. Na Froncie Wschodnim w 1943 r. rozstrzelano według wiadomości z „Feldpostu” kilkadziesiąt zespołów takich kół pułkowych.

Głośnym echem, jak można było dowiedzieć się z „Feldpostu”, odbiła się wśród żołnierzy, którzy po

roku, a nawet dwu latach walki nie mieli urlopów, odezwa „N”, podpisana przez „Frauenshaft NSDAP Köln”. W odezwie tej ko bieta organizacja NSDAP w Kolonii wzywa kierownictwo NSDAP i mężów, ojców i braci do zaprote stowania przeciwko ówczesnej fraternizacji Niemek z cudzoziemskimi robotnikami w Rzeszy, a szczególnie z „zaprzyjaźnionymi” Włochami.

I wreszcie najbardziej kunsztowna i benedyktyńska robota „N” — „Liebesgaby”. Jak wiadomo, na obszarze GG była cała masa szpitali niemieckich z rannymi żołnierzami.

NSDAP w GG i w Niemczech zbierała podarki dla rannych, a przede wszystkim poszukiwane były książki. Do tej „liebesgabowej” akcji włączył się „N”, zasypując szpitale niemieckie książkami hitlerowców i klasyków niemieckich z umiejętnie powklejanymi kartkami antyhitlerowskimi „produkcji „N”. Jeśli uprzytomnimy sobie, ile pracy kosztowało dobranie czcionek, papieru, robota zszywania i klejenia, to wtedy dopiero zdany sobie sprawę z tego, jak zmuszą pracą by y te „liebesgaby”.

Ale o dorobku „N” świadczy w pierwszym rzędzie ilość nakładów omawianych druków. Wydawnictwa „N” w okresie trzech lat wyszły w ilości milionu sztuk. Jeśli zważy się warunki konspiracyjnej pracy oraz „przepusty” drukarni podziemnych — ilość tych wydawnictw jest fantastyczna. Ale akcja „N” może poszczycić się nie tylko milionem egzemplarzy druków.

Przy omawianiu akcji „N” pamiętać jeszcze należy o sprawach następujących:

1) prawie aż do Stalingradu na Froncie Wschodnim dywersja moralna była prowadzona samotnie przez „N”, podobnie zresztą jak to było z działalnością bojową w rejonie akcji „W”.

2) od momentu kontrofensywy radzieckiej druki akcji „N” stały zarówno pod względem redakcyjnym jak i technicznym na wysokim poziomie,

3) przez cały okres wojny druki akcji „N” były lepsze od bibuły „enowej” brytyjskiej, tak zwanych wydawnictw „Luftpost”, zrzuca nych z samolotów,

4) informacje podawane przez wydawnictwa „N” były cytowane w „enkach” aliantów oraz nadawane przez specjalną angielską zakapturzoną stację typu „enowego” tzw. radiostację „Atlanticwall” z siedzibą na wyspach brytyjskich.

5) oficjalne depesze nadsyłane do kraju z Londynu z Min. Informacji i Dokumentacji i ze sztabu gen. Sikorskiego (za jego życia) oceniały skuteczność akcji „N” jako bardzo dużą, a jakoś wydawnictw „N” jako nadwyraz dobrą i to nie na podstawie zdań własnych, lecz opinii sztabów i rządów alianckich — podzielał tę opinię i Sztab Armii Czerwonej),

6) oceną dodatnią akcji „N” były i listy niemieckich żołnierzy z frontu tzw. „Feldpost” przejmowanych na pocztę przez żołnierzy AK i nadsyłanych do „N” w sposób zorganizowany (była specjalna komórka „przechwytyw”),

7) świadectwem tej owocności akcji „N” była również oficjalna walka podjęta z wydawnictwami „N” na łamach naczelnego organu Ober Kommando der Wehrmacht (OKW) — „Die Wehrmacht”,

8) świadectwem skuteczności akcji „N” były również tajne instrukcje dla dowódców w tzw. „Mittelungen für die Truppen”,

9) świadectwem destrukcyjnego wpływu między in. akcji „N” w wojsku niemieckim był i fakt powiększenia na Froncie Wschodnim w zestawieniu z innymi frontami

specjalnych oddziałów propagandy tzw. „Propagandatruppen“ z szefem w randze generała (General major von Wedel). Aparat Goebbelsa już tu nie wystarczał.

10) no i w końcu nie do pogardzenia jest i to, że polska prasa konspiracyjna nie poznała się na mistyfikacji i druki „N“ traktowała, jako rzeczywiste wydawnictwa niemieckie. To chyba świadczy najlepiej o wartościach wydawnictw „N“.

Ale mylnie odniosłoby się wrażenie, gdyby akcje „N“ rozumieć tylko w jej wariacie wydawniczym, a zespół czołowych jej pracowników widzieć w podanych dotąd osobach.

Dział „N“, który rozwijał się ustawicznie od momentu swego powstania do kresu działalności — pod względem strukturalnym i organizacyjnym wykrył się szybko, bo już w końcu 1941 roku.

Miał następujące działy: 1) Organizacyjny (sprawy personalne, kurierzy, kolportaż itd.) na czele z „Leszkiem“ (A. Szatkowski z PZW), łączniczka tego działu „Janka“ (Alicja Halpernowa, zamieszana w sprawę Kotta — weszła do „N“ prawie prosto z bram Pałacu). Najlepsi kurierzy i kolportrzy to ślązacy „Zbik“ i „Fonsio“. M. in. kolportażem „N“ trudnił się i obecny wojewoda gdański inż. Zrałek (na terenie Pruszkowa). 2) Studiów (sprawy materialowe, wyciągi z prasy itd.). Szef „Baca“ (Mendys), łączniczka „Olga“ (Anna Siemiaszkowa). Dział ten ze względu na swój rodzaj pracy był „laboratoryjny“. 3) Redakcyjny (redaktorzy i tłumacze). Poza już wyżej podanymi osobami czynniejszą rolę wzięli: z tłumaczy „Zabkowski“ (red. Teska) i łączniczka „Greta“ (Jadwiga Wolska). 4) Specjalny. Dział ten z biegiem czasu przejął kolportaż z działu pierwszego. Kierownikiem był „Wolf“ (K. A. Górkowski) łączniczką najpierw „Janczka“ (Janina Macierewicz), później „Zosia“. Zadaniem jego było demoralizowanie i dezorganizowanie moralnie aparatu administracyjnego i policyjnego w GG. Był to „Kedyw“, czy „Wielka Dywersja“, ale nie uprawiana „Steinem“ czy „plastikiem“, lecz przy pomocy słuchawki telefonicznej, donosu Niemca na Niemca, podrobienia urzędowych dokumentów niemieckich czy zarządzeń, pisanie prób w imieniu różnych kanałów niemieckich z Gestapo czy NSDAP do kancelarii Hitlera, aby zabrał ich do wojska i na front, zamiast „urzędowania“ w Warszawie, czy Krakowie.

Oprócz tego w dziale tym była tzw. „Komórka Terroru Moralnego“ (K. T. M.) działająca na Niemców.

„KTM“ wydawała w sposób oficjalny, z okrągłą czerwoną pieczęcią, w imieniu władz Polski Podziemnej napomnienia, przestrogi, nakazy — przesiedleń, wysiedleń, czy wyroki śmierci (parę przy pomocy „Kedywu“, oczywiście wykonano) były nadawane pocztą GG na specjalnych, urzędowych blankietach „Komisarza KTM“ — dla Warszawy „Grabowskiego“, dla dystryktu warszawskiego „Malinowskiego“, a dla Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego „Moszczeńskiego“ itd.

Komisarzem „KTM“ był wspomniany już „Wolf“. Technika zaś pracy była 4-ro stopniowa. Na stop

niu pierwszym obsłano według kartoteki na określonym terenie np. 1.000 Niemców wezwaniem do poprawniejszego odnoszenia się w stosunku do Polaków. Następnie w fazie II-giej wydzielono z tego tyśiąca jakieś 300 Niemców, dając im ścisły termin poprawy pod groźbą oddania sprawy do polskiego wojskowego prokuratora. W fazie III-ciej z owych trzystu wybierano 100 Niemców, którym komunikowano, że na skutek złej woli z ich strony „Komisarz“ oddał ich „sprawę“ do prokuratora. Na końcu w fazie IV-tej wybierano z owych stu 5 lub 10 Niemców, przekazywano do „Kedywu“, a „Kedyw“ ich likwidował.

Szczególnie w ciągu roku 1944. plon tego działu „N“ był obfity. Po ustabilizowaniu się wszystkich form pracy „N“ (cztery działy) nadzór nad całością zachował w dalszym ciągu „Kowalik“, a zastępcą jego był „Leszek“, który zginął w Powstaniu Warszawskim.

W Powstaniu zmienił się charakter i zakres pracy „N“. Przede wszystkim „N“ stracił swą niezależność i został zdegradowany do roli referatu w Wydziale Propagandy KG AK (Szef wydziału „Kania“ — „Kowalik“, wice-Szef Wydziału „Sawa“ — „Kowalczyk“). W samym referacie pozostali „Kozakiewicz“, „Sobociński“, „Nowicka“, „Zabkowski“. Doszli podchorążowie „Sum“ i „Karcz“ (Pereświat-Sołtan).

Jako nowy środek techniczny w akcji „N“ zastosowano „patrole megafonowe“.

Jak wiadomo megafony stały i wozy megafonowe w propagandzie frontowej odegrały w ostatniej wojnie dużą rolę i to zarówno na Froncie Afrykańskim (Tunis), jak i w czasie Inwazji w Normandii, czy na Froncie Wschodnim zarówno po stronie radzieckiej, jak i niemieckiej. Znany jest „wyczyn“ megafoniarzy radzieckich w dniu 10 lipca 1943 r., kiedy to z samego ranka „uraczyli“ oni słuchaczy niemieckich na znacznej długości frontu specjalną audycją megafonową zwiastującą Niemcom w parę godzin po rozpoczęciu desantu — o inwazji anglo-amerykańskiej na Sycylię.

Tę samą technikę i taktykę zastosowano w działalności „N“ i w czasie Warszawskiego Powstania, z tym tylko samorodnym wkładem inicjatywy powstańczej, że megafony były niestałe i nie „wożone“, lecz „noszone“. Poza tym taki „patrol megafonowy“ reprezentował nie tylko siłę propagandową, ale i bojową. Składał się bowiem ze speakera, sekcji uzbrojonych żołnierzy (z oddziału specjalnego i „Chwatów“) oraz patrolu sanitarnego również z sanitariatu „Chwatów“.

„Patrol megafonowy“ często wychodził przed linie i barykady powstańcze i nadawał propagandowe audycje w języku niemieckim i ukraińskim.

Takie akcje robione były na BGK „PAST-ę“, Komendzie Policji, Politechnice, a parę razy na Gmach Telekomunikacyjny przy Poznańskiej róg Nowogrodzkiej. W czasie jednej z takich akcji na Gmach Telekomunikacyjny zginęła „Sonia“ (Paulina Michalska), sanitariuszka „Chwatów“.

Praca patroli megafonowych trwała w Śródmieściu prawie do kapitulacji Powstania.

Leon Wojciechowski

Wiersze Powstańcze

Wśród wierszy, które zachowały się z powstania, jest wiele takich, o których mało możemy powiedzieć, a nawet nie wiemy, kto jest ich autorem.

Po ogłoszeniu w „Dziś i Jutro“ dwóch wierszy powstańczych: „Fort Łazienkowski“ i „Stare Miasto“ odnalazł się tylko autor drugiego. Wiemy z listu do redakcji, że jest to Mieczysław Ubysz — podchorąży Wik. Nie należy go identyfikować z podchr. Wikiem (Zenon Wiktorczyk), który napisał „Chorał“. Mieczysław Ubysz był w czasie powstania speakerem rozgłośni „Błyskawica“ i z tego okresu datuje się kilka jego wierszy, które dzisiaj drukujemy.

Nie będziemy poddawać ich analizie, zanotujemy tylko okoliczności w jakich powstały.

Po upadku Starówki wzmożyły się naloty samolotów na Śródmieście, celem ich stał się główny gmach PKO, gdzie znajdowało się dowództwo Armii Krajowej.

Kilka bomb padło w pobliżu. Popłoch powstał w gmachu wśród urzędników, pracowników sztabu i

dowódców, łączniczek, gońców i maszynistek. Zaczęto biec na oślep, tłoczyć się, przewracać, trącać jedni drugich.

Naraz ktoś z tego tłumu zaintonował hymn narodowy. Wszyscy osłupieli i po chwili zaczęli iść do klatki schodowej wśród odgłosów padających bomb, przejmującego warkotu i świstu samolotów nurkowych, podtrzymując melodię.

Rudy i Wik postanowili moment ten uwiecznić w poezji, nosili się z najroźniejszymi pomysłami, ale nie było chwili czasu na skupienie się i na przelanie ich na papier.

Wik powrócił do nich dopiero w czasie pobytu w obozie jenieckim w Zeithemie i napisał wiersz, któremu dał tytuł PKO.

Wiersz ten znalazł się w tomie jego poezji „Czas wirujący“ i dostał się w ręce Rudego (Zbigniew Jasiński), autora kilku wierszy powstańczych.

Po kilku miesiącach Wik otrzymuje od niego list, w którym Rudy dziękuje mu, że uniesmiertelnił go w poezji, gdyż to on właśnie był tym który zaintonował hymn.

Wiersz ten był bardzo popularny w obozach jenieckich i w skupiskach Polaków w Niemczech po uwolnieniu przez Aliantów, często był przedrukowywany w pismach i deklamowany. Wywierał silne wrażenie.

Na jednym z poranków poetyckich Mieczysław Milecki, znany aktor sceniczny, odczytuje ów wiersz. Ma przed sobą maszynopis w dwóch kolumnach.

Nagle Wik, który siedział obok, osłupiał z przerażenia. Zorientował się, że Milecki pomylił się i czyta jeden wiersz z pierwszej kolumny a następny z drugiej kolumny, i tak dalej.

Wik oczekuje, że publiczność ryknie śmiechem. Milecki czyta dalej zarem wewnętrznym i ekspresją i dopiero w połowie orientuje się, nie traci rezonu i czyta dalej, ale już „dobrze“.

Wik patrzy nieomal nieprzytomny i nagle zrywa się burza oklasków. Nikt prócz niego i Mileckiego nie zorientował się na sali.

Stanisław Podlewski

Ostatni komunikat

Nadajemy komunikat z Warszawy.

Nadzwyczajny komunikat z Warszawy.

Stacja Armii Krajowej melduje:

Bój skończony i... nic, oprócz Sławy...

Wieżę niesiemy do wszystkich narodów,

Konferencyj, przyjaciół i braci:

Lud Stolicy za Wolność zapłacił

Swoim życiem.

Rozgłoście! Ponieście! Wolni! Wolni!

Już pełza po mieście

Trupi odór od szaniców do szaniców,

Milion legło wśród gruzów Powstańców.

Milion legło.

Spytajcie barykad, murów, piwnic i prochu ulicy,

Niech wam powie i niech wam zakrzyczy

Jak ten milion obrońców Wolności

Ginał

Stacja Armii Krajowej w Warszawie

Raz ostatni pozdrawia żołniersko

Wszystkich braci walczących na świecie

O Zwycięstwo! O... wasze Zwycięstwo!

Wolnej Francji, Rumunii, Bałkanom,

Naszym Braciom w zdobytym Berlinie

Słemy salut.

W płomieniach nasz Salut!!!

I nasz Salut jak Wolność tragiczny

Nad milczeniem urasta ulicy

Jak śmierć bład!

Zwycięstwo! Zwycięstwo!!

Nad Stolicą Wolności huragan

Zielonymi rękami dziś targa,

Lasem rosną milczącym i krwawym

W tym Salucie Honoru i Sławy.

W świat ponieście! ponieście! ponieście!

Milion legło!

Manifest

Skrwawiony mur podnieśmy

Nad głowy całego świata,

Niech rośnie Stolicą Ducha

I nad zgarbione grzbiety.

Jak Wiecznej Wolności biletyn

Gromem wybuchal!

Wam, chleba przeżuwaczom,

Co dnie niżecie na niewoli sznurze,

Bez Jutra, w śmiertelnej trwodze,

Dniem jednym życie zagrodek:

Warszawa wydała manifest

Do wszystkich narodów świata!!!

Podnieśmy nad głowy milionów

Skrwawione mury i zgłiszczą

I tym, co jeszcze wątpia,

I tym, co już sił nie starczy,

Niech werbel bojowy zawarczy,

Niech Dzień w ich serca jak wystrzał

Uderzy!

— Powietrza! Więcej powietrza!

Prez z kęsem, gdy dnie zatrute! —

Podnieście dłonie okute

I bijcie w trumien wieka,

Niech zmartwychwastanie w płomieniach

Godność Wolnego Człowieka.

P. K. O.

Na cześć Tego, który podczas bombardowania PKO w czasie rosnącej paniki zaintonował Hymn.

P.K.O. P.K.O.

Pierwszy grom! drugi grom!

Jęknął strop i wicher trzasnął

Czarną śmiercią w gmach jak miasto

Zakołysał, zatrząsł, grzmocił,

Miódł i w oczy, oczy, oczy

Tumanami w wir i gwał!

Szał! Jezusie... Szal!

We mgle czarnej śpieszne ręce

Prędeż, prędzej, prędzej, prędzej!

Ściany, drzwi, korytarz, mgła,

Znam! Tu — Chryste! Prędeż! Znam!

Prędeż. Śmierć jak trąd na twarzy!

Korytarze! Ko-ry-ta-rze!!!

Gdzie?! Precz! Ja!!!

Mgła... Znów! Chryste... Chryste!!!

Oooo... Nie. Nie!

Nie.

Tu — schody — prędzej —

W dół!

Ja żyć chcę!!!

W mgłę!

Nie.

Ktoś

Jeden

Ktoś

Niewiadomy

W grozę kołyszącą domem,

W mgłę, wykrzyknął:

Nie i stać!

Śmierć — to śmierć, a śmierć — to gra.

Gra jest nasza, nasz jest krzyk

W trwodze jak przez piekło iść.

Stać! Dopiero pierwsze drzwi!

Za tysiącem, za milionem

Wolność w Trwogę gruchnie dzwonem,

A nam teraz stać i czekać!!!

Mieczysław Ubysz

KSIEŻA MARIANIE

Zgromadzenie Apostolskie, służące chwale Bożej i czi Niepokalanej przyjmujące

KANDYDATÓW DO KAPLANSTWA

nie wyłączając spóźnionych wiekiem, do klas gimnazj i licealnych. Posiadający maturę gimnazjalną lub licealną mogą zgłosić się do nowicjatu

Warszawa, ul. Wileńska 69.

Warszawa wolna! Chorągwie spływają białoczerwoną strugą radości ze ścian domów, zalewają ulice, powiewają nad Starym Miastem, Wplą, Kołem, Powązkami, Czerniakowem, Sadybą i Mokotowem, nieopisany entuzjazm ogarnął mieszkańców...

Nie tylko poeci tak piszą zwykle o tych pierwszych chwilach i dniach powstania.

Było to jednak niezgodne z rzeczywistością.

Od godziny W. sytuacja bojowa w stolicy jest krytyczna dla powstańców. Wazą się losy powstania i Warszawy.

Niemcy zepchnięci z wielu ulic i placów stolicy, zamykają się w silnie ufortyfikowanych budynkach w rejonach: Alei Szucha, ulicy Rakowieckiej, Placu Piłsudskiego, Cytańki, Dworca Gdańskiego. Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego, na Bielanych, w koszarach na Boernerowie i wielu innych mniejszych budynkach, starannie przygotowanych do obrony. Znajdują się one we wszystkich dzielnicach stolicy, w jej niewralgicznych punktach wzdłuż przelotnych arterii, są tak przemysłnie obrane, że tworzą pewien system obronny, mogą wzajemnie się wspierać i dalekim ogniem trzymać w szachu cały wachlarz ulic i placów. Zaledwie kilka z nich udaje się powstańcom opanować po ciężkich walkach: np. Poselstwo Czesko-Słowackie, na ul. Koszykowej, stołeczna Elektrownia, na Powiślu. Pocztę Główną, Państwową Wytwórnę Papierów Wartościowych, na Zakroczymskiej.

Tylko nieliczne miejsca oporu nieprzyjacieli opuszcza, pali budynki lub wysadza w powietrze.

Niemcy osaczeni w wielu punktach lub zamknięci barykadami ostrzeliwiają się gwałtownie na wszystkie strony, nie oszczędzając amunicji. Zrazu nie próbują się wyrwać, czy połączyć ze swoimi głównymi siłami, co najwyżej parolują czołgami po sąsiednich ulicach. I wtedy wiele czołgów zostaje zniszczonych lub nawet dostają się w ręce powstańców gotowe do akcji.

Nieprzyjacieli zaczyna okazywać aktywność dopiero trzeciego dnia, próbuje odebrania niektórych obiektów i ulic.

Ważna arteria przelotowa Wschód — Zachód jest zablokowana na przez powstańców. Natomiast mosty na Wiśle znajdują się w rękach nieprzyjaciela. Ataki powstańców na Most Kierbedzia od strony Pragi, i na Most Poniatowskiego od strony Parku Paderewskiego zalamują się w ogniu silnie ufortyfikowanych przyczółków mostowych.

Nie przeszkadza to naszej propagandzie, aby dla pokrzepienia serc puścić nieprawdziwą wiadomość, że most Kierbedzia został zdobyty w ataku grupki szaleńców, na której czele miał biec ksiądz, z krzyżem w ręku i z rozwianą sutanną...

Wszystkie dworce kolejowe, lotniska, radiostacje i nieomal wszystkie ważniejsze budynki państwowe znajdują się nadal w rękach Niemców. Są w nich usadowieni mocno. O ile nie panują w najbliższych rejonach, owych punktów oporu, to w dużym stopniu paraliżują życie, — zagrażają nagłą agresją i wiążą siły powstańców, trzymając w ciągłym napięciu nerwów i czujności. Wyborowi strzelcy stają się istną plagą. Ukryci w świetnie zamaskowanych stanowiskach, zadają ogromne straty. Ludność nazywa ich „gołębiarzami”.

Czyż w takiej sytuacji stolica jest naprawdę wolna? Jednak ludność chce się czuć wolną i to jest decydujące. Nie tylko mieszkańcy stolicy, ale i dowództwa powstańców i nieprzyjacielskich wojsk nie orientują się w sytuacji bojowej.

Ogromny chaos panuje od pierwszych chwil powstania, dezorientacja świeci triumfy wśród obu wal-

czących stron. Nadaje piętno przy padkowości wszystkim decyzjom i czynnościom.

Tuż po wystąpieniu do walki wielu dowódców powstańców nie ma łączności z pułk. Monterem, dowódcą warszawskiego okręgu, i ze swoimi bezpośrednimi dowódcami i oddziałami. Najpewniejszy środek łączności przez gońców, mimo szalonej odwagi tych dziewcząt, wiele kroć w decydujących momentach zawodzi. Ze zrozumieliych względów stałej sieci telefonicznej nie da się wykorzystać, a o połączeniu radiowym, czy połowym telefonem nie pomyślano. Nie bez uzasadnienia wydają się sarkastyczne uwagi jednego z moich chopców:

— Nasi dowódcy nie mogą utrzymać łączności między sobą, oddaleni od siebie zaledwie o kilka ulic, a cóż dopiero mówić o łączności z Aliantami zachodnimi czy dowództwem Czerwonej Armii.

Zachodzą takie curiosa, że dowództwo oddziałów powstańców na Pradze czepie wiadomości o sytuacji bojowej w stolicy przez Londyn. Oczywiście są one nie wystarczające i spóźnione, gdyż radio londyńskie dopiero drugiego dnia wie czorem przyniosło pierwsze obszerniejsze komunikaty Kwatery Głównej AK o wybuchu powstania, a to na skutek uszkodzenia radiostacji w MP Komendy Głównej, na Woli.

To też dowództwo powstańców oddziałów na Pradze wysłała łącznika do Warszawy. Jest nim harcerz. Przepływa Wisłę, dociera do Kwatery Głównej pułk. Montera, i po złożeniu meldunków udaje się mu szczęśliwie powrócić na Pragę. Wyrusza jeszcze raz, lecz posterunki nieprzyjacielskie ujęły go na Saskiej Kępie. Został rozstrzelany.

NASI DOWÓDCY

Dowódcy najbardziej eksponowanych obwodów stolicy: Mokotów, Ochota, Wola i Żolibórz, osobiście ofiarni i dzielni oficerowie z długich lat konspiracji, okazali się w pierwszych chwilach powstania ludźmi słabego charakteru, niezdęcydowanymi, chwiejnymi w swoich decyzjach, ulegający panicznemu nastrojowi i sugestiom swojego otoczenia, zrzucający się pierwszymi niepowodzeniami. Wskutek nieotrzymania broni i amunicji, którą im obiecywano do ostatniej chwili, nie mogą wykonać swojego zadania. Zawszad nadchodzące meldunki o załamaniu się natarcia na niemieckie punkty oporu paraliżują ich wolę działania. Zostają niejako zahyponowani techniczną i liczebną przewagą nieprzyjaciela i groźącym niebezpieczeństwem.

Każdy dowódca musi umieć przewidywać. Pułk. Monter nie przewidział, że niektórzy dowódcy mogą znaleźć się w ciężkiej sytuacji, nie powiedział, co mają czynić w razie załamania się uderzeń na nieprzyjacielskie punkty oporu, braku broni lub szybkiego zduśnienia powstania.

Dowódcy, nie mając żadnych rozkazów na skutek braku łączności, zmuszeni są podjąć sami zasadnicze decyzje. Nie atakowani przez nieprzyjaciela umieją się tylko zdołać do wymaszerowania ze swoimi ludźmi ze stolicy i to tak szybko, że nie zdążą niejednokrotnie sięgnąć a nawet zawiadomić wszystkich swoich oddziałów, pozostawiając je własnemu losowi.

W podjęciu tej decyzji bezsprzecznie zaważyło u tych dowódców przeświadczenie, że nie mają prawa pozostawiać młodzieży bez broni w murach stolicy, skazywać jej na pewną zagładę i krwawą zemstę. I przez to uwikłali się w tragedię. Czynili wszystko z myślą, aby ratować młodzież, a spowodowali jej szybką zagładę.

Powstańcy wychodzili ze stolicy uzbrojeni zaledwie w kilka pistoletów, tuż za miastem napotykali nieprzyjacielskie oddziały wo-

Stanisław Podlewski

koł kwaterujące, wywiązywały się walki w szczerym polu, które musiały się tragicznie kończyć.

Aby zrozumieć cały tragizm położenia powstańczej stolicy trzeba uzmówić sobie sytuację bojową w pierwszych godzinach we wszystkich obwodach — dzielnicach.

NA WOLI

Wola i Ochota były taktycznie i operacyjnie najważniejszymi obwodami (III i IV). Miały one zamknięte główne arterie przelotowe Wschód — Zachód, ważne dla odwrótu Niemców ze Wschodu.

Ochota zamykała szosę radomską (Trasa przez most Poniatowskiego), zaś Wola miała blokować szosę poznańsko-łódzką (Trasa przez most Kierbedzia).

Tu należy wspomnieć, że znów obwoły Żolibórz i Mokotów miały zamknąć ważną arterię rękodową: Północ — Południe, przez Wisłostradę, Nowy Świat, Marszałkowską, Żelazną i Towarową.

Od kilku lat major Waligóra — Lelek (Jan Tarnowski) sprawował dowództwo obwodu Wola. Był to oficer służby stałej, kawalerzysta. Z kampanii wrześniowej wyniósł nadwyrężone zdrowie, jednak nie zaniechał pracy konspiracyjnej, od dany całą duszą sprawie. Włożył wiele wysiłku, aby jego obwód mógł wykonać zadanie. Por. Wilnianin, jego oficer operacyjny, dowiedział się już o godzinie siódmej rano o wyznaczeniu przez Komendę Główną AK godziny W. (wystąpienia). Było więc wiele czasu do zawiadomienia ludzi, jeśli się zważy, że większość dowódców otrzymała ten rozkaz dopiero około południa. To też mobilizacja na Woli osiągnęła około 90 proc. stanów. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej.

Tymczasem sytuacja się komplikuje. O godzinie 16 mjr. Waligóra odbywa ostatnią odprawę dowódców rejonów i grup i na niej orientuje się, że sytuacja w jego obwodzie jest krytyczna.

Por. Balbo, dowódca I rejonu, melduje, że na jego kwaterach oczekuje 700 ludzi na broń, nie może jej wydestakować, gdyż jakiś duży oddział broni SS „usiadł” w ogrodach na Ulrichowie, gdzie znajdują się magazyny broni jego rejonu. Warto zaznaczyć, że w magazynie znajdowało się 2 cekaemy, 11 erkaemów, 12 peemów, 150 pistoletów i 80 karabinów. Wobec takiej sytuacji nie widzi możliwości bez broni wykonać swojego zadania, tj. opanować koszar i szkołę na Boernerowie, a po nawiązaniu łączności z Żoliborzem uderzyć na lotnisko na Bielanych, które będą również atakować oddziały lesne z puszczy Kampinoskiej.

Następnie kapitan Stefan melduje, że u niego zebrano około 1200 ludzi, lecz nie otrzymał z dowództwa okręgu broni i jak dotąd nie ma żadnych nadziei otrzymania jej.

Ludzie kapitana Wagi, z Oddziałów Wojskowych PPS, mają trochę broni i granatów. Wobec tego i on nie jest w stanie wykonać zadania, tj. opanować względnie zamknąć ogniem obiektów wojskowych przy ulicy Skierniewickiej oraz dworca Zachodniego i fortu Wolskiego.

Jedynie por. Hal, dowódca II rejonu, melduje, że u niego wszystko odbywa się w normalnym tempie i bez przeszkód. Właśnie od strony Żoliborza słychać silną kanonadę artyleryjską i serię broni maszynowej — zapewne tam rozpoczęły się już walki.

Mjr. Waligóra orientuje się, że nie będzie mógł wypełnić swojego

»D N I C H A O

zadania, wniwecz idzie cała jego kilkuletnia praca. Zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności jaka na nim ciąży. Około dwóch tysięcy młodych ludzi wciąż oczekuje na broń w najbliższym sąsiedztwie nieprzyjaciela. Major popada w stan głębokiego przygnębienia. Zalega dręcząca cisza. Oficerowie patrzą na majora, musi im przecież dać wyraźny rozkaz. Nagle por. Wilnianin przerywa ciszę i zwraca się do por. Hala: ze słowami:

— Wobec takiej sytuacji niewiele możemy poradzić. Na pana i jego ludziach spoczywa honor oddziałów Woli... oby tylko udało się go panu utrzymać...

Oficerowie szybko rozchodzą się do swoich oddziałów. Teraz cała nadzieja Waligóry spoczęła na oddziałach por. Hala. Oczekiwał z niecierpliwością na jego meldunki.

Około godziny 21-szej por. Hal donosi, że swego terenu, że gdy por. Gromada, dowódca drugiego zgrupowania, rozpoczął walkę, czołgi wjechały w szerokie ulice Kola i między bloki domów. Cała jego akcja została sparaliżowana. Godzina walki okupiona jest stratą około 30 proc. stanu oddziału. Wysłany patrol do por. Ostoji, dowódcy tego zgrupowania, już nie zastał powstańców, a od mieszkańców dowiedział się, że ludzie Ostoji zaatakowani zostali z dwóch stron przez piechotę niemiecką, ze stanowisk w kartofliskach i przez samochody pancerne.

Zapewne całe to zgrupowanie przestało istnieć.

Wobec takiej sytuacji por. Hal decyduje się przejść do obrony i powstrzymać nieprzyjaciela wzdłuż wylotu ulic. Ma jeszcze dwa zgrupowania I i IV.

Rozkazuje por. Witowi i por. Żarowi budować barykady i przeszkody przeciwczołgowe przy zbiegu ulic.

Por. Hal udaje się do mjr. Wali góry, przedstawia mu sytuację, uzasadnia swój plan obrony i uzyskuje od niego zgodę.

Od majora dowiaduje się, że i oddziały kpt. Wagi zamknęły barykadą ulicę Wolską, przy Młynarskiej.

A więc oddziały Woli przeszły z ofensywy do defensywy.

Sytuacja byłaby bardzo poważna, gdyby na Woli nie znajdowały się oddziały Kadry Dywersyjnych, którymi dowodził ppłk. Radosław. Była to jednostka najlepiej uzbrojona, przepojona wspaniałym duchem walki, mająca już świetne tradycje bojowe.

Ale major Waligóra nie wie dotąd, że na jego terenie znajdują się Kadry Dywersji.

Może ktoś zapytać, jak do tego doszło?

Gdyby powstanie objęło całą Polskę — Kwaterna Główna A. K. miała znajdować się na południowym skrajku stolicy, gdzieś około Służewca, a przy niej miały być Kadry Dywersyjne i pułk dyspozycyjny K. G. „Baszta”. Tymczasem powstanie zdecydowano na terenie stolicy i kwaterna Główna A. K. znalazła się na Woli, na granicy ghetta.

Wobec takiej sytuacji „Baszta”, pod dowództwem ppłk. Daniela (Kamiński) pozostawiono na Mokotowie, a Kadry Dywersji na kilka dni przed powstaniem przerzuciono na Wole.

Ppułk. Radosław nie miał czasu na dokładne zapoznanie się z terenem, ani na uzgodnienie współdziałania z dowództwem obwodu Wola.

Trudno nie wspomnieć o ciężkiej opresji w jakiej znalazł się dowódca

AK jeszcze przed wybuchem powstania.

Niemcy zajechali samochodem ciężarowym do fabryki Kamlera. Mieli oni zabrać płaszcze z wojskowego zakładu umundurowania, mieszczącego się na terenie fabryki. W pewnej chwili wybiegł pracownik, jeden z członków załogi fabrycznej, a zarazem będący w osłonie. Miał białoczerwoną opaskę na ramieniu. Niemcy obserwowali go ze zdziwieniem, po czym zaczęli strzelać. Na odgłos strzałów wybiegł ppor. Jerzy, (Kamler) właściciel fabryki, z kilku pracownikami, uzbrojonymi w karabiny. Zastrzelili trzech Niemców, reszta w panice uciekła. Zaalarmowali oni posterunek żandarmerii, a ten znów dowództwo. Około godziny 16-tej cała fabryka została otoczona przez silne kordony żandarmerii i oddziały SS. Wywiązała się od razu zacięta walka. Sytuacja była bardzo poważna.

Ostona z batalionu „Miotła” nie miała broni, gdyż wysłany samochód na Żolibórz nie powrócił, wpadł w ręce Niemców.

Kapitan Niebora wysłał łącznika do ppułk. Radosława żądając o pomoc, lecz ta długi czas nie nadchodzi.

Walki trwają do zmroku. Właściwie Niemcy zostają odparci, wycofują się za mury ghetta.

Przez te kilka godzin Komenda Główna AK jest całkowicie odcięta i nie może kierować powstaniem.

ZOLIBÓRZ I BIELANY

Podobna sytuacja wywiązuje się na Żoliborzu, gdzie walki rozpoczęły się już około godziny 14-tej, a więc trzy godziny wcześniej. Musiało to mieć fatalne następstwa. Dzielnica ta została odcięta od reszty stolicy, przez co nie mogła odbyć się mobilizacja, wielu dowódców nie mogło dotrzeć do swoich oddziałów, a wiele oddziałów nie mogło dostać do swoich magazynów broni.

Pod wieczór ppułk. Żywiciel otrzymuje meldunki ze wszystkich rejonów, brzmiały one jednakowo tragicznie.

Natarcie oddziałów powstańców kpt. Żagłowca na cytadelę warszawską, forty i dworzec gdański załamało się, zostało okupione ciężkimi stratami, dochodzącymi do 70 proc. stanu.

Podobnie oddziałom mjr. Serba nie udało się opanować Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego, ani Waldlagru. Skrwawione oddziały musiały się wycofać, nieprzyjacieli rozpoczął przeciwnatarcie, starając się powstańców zamknąć w kotle.

Rotmistrz Janusz meldował, że jego oddział w drodze na podstawy wyjściowe natknął się na oddziały policji i lotników. Odpadł moment zaskoczenia, więc już nie uderzał.

Równocześnie kpt. Żagłowiec i kpt. Szkodnik meldują, że wielu ludzi z ich oddziałów zamierza na własną rękę wyruszyć do puszczy.

Po kilkogodzinnej walce wszystkie oddziały są mocno skrwawione. Nadomiar żołnierzy powstańczy, świetny w zwycięskim natarciu, jest słabszy w niepowodzeniu. Amunicja wystrzelana, brak granatów. Wobec takiej sytuacji ppułk. Żywiciel decyduje się wymaszerować do puszczy Kampinoskiej.

Prowadzi tylko część swoich ludzi. Wielu rozeszło się do domów, nie chcąc pozostawić swoich rodzin na pastwę Niemców. Natomiast mjr. Serb (Władysław Jeleń Nowakowski) wyruszył znacznie wcześ-

SU I WALKI

niej z własnej inicjatywy do puszczy.

Ale tej samej nocy Niemcy, obawiając się uderzenia powstańców wycofują się bez walki z wielu punktów oporu na Żoliborzu do Cytadeli i do CIWF-u na Bielanach.

Wywiązuje się paradoksalna sytuacja w tej dzielnicy, stanowi ona „niemandsland”.

O świcie oddziały dochodzą do Klaudyna około puszczy. Dolatują ich odgłosy gwałtownej strzelaniny i kanonady artyleryjskiej, rozlega się warkot samolotów.

To oddziały zgrupowane w puszczy Kampinoskiej powracają z nieudanej wyprawy zdobycia lotniska Bielan. Unoszą ze sobą trzydziestu zabitych i około pięćdziesięciu rannych.

Wśród zabitych jest kapitan Karas, por. Janusz, por. Halski, sierżant Miót.

Choć lotniska nie zdobyto, jednak nieprzyjacieli obawiając się agresji powstańców nie użytkowali go do końca powstania.

Ppułk. Żywiciel spotyka w puszczy zupełnie przypadkowo zgrupowanie mjr. Serba, ale i on nie ma ze sobą wszystkich swoich oddziałów. Brakuje mu kompanii por. Starzy (Jerzy Terczyński). Major chodzi zaszepcony i pełen złych przeczuć.

Tymczasem por. Starza przebił się tej samej nocy przez łańcuch nieprzyjacielskich stanowisk, w morderczym ogniu broni maszynowej, pomiędzy Boernerowem a fortem Bema. Udało się przejść, ale poniósł duże straty. Wielu powstańców zginęło, przeważała młodzież akademicka i szkolna. Choćby tylko wymienić por. Dunina (Mieczysławski), podchorążych: Rewskiego, Włodzimierz Rode (Mirka), Janusza (Zieliński), Górala, łączniczkę Annę. (Tuz).

Teraz połączone oddziały Żoliborza maszerują do wsi Sieraków. Deszcz pada bez przerwy. Wielu powstańców idzie boso, gdyż kartkowe obuwie rozlażło się na strzępy.

Powstańcy suszą się po chałupach i stodółkach. Lekarze i sanitariusze mają pełne ręce roboty, większość ma odparzone nogi.

Mimo usilnych starań ppułk. Żywiciel i mjr. Roman (Andrzej Janca), jego szef sztabu, nie mogą otrzymać broni, ani amunicji. Nie wielkie zżuty broni rozebrały oddziały, które tutaj kwaterowały lub zdążyły wcześniej przybyć. Ppułkownik postanowił oczekiwać w puszczy na zżuty. Tymczasem łączniczka Ira (Ludmiła Janotówna) powraca ze stolicy od pułk. Montera z odręcznym rozkazem, aby ppułkownik „ratował honor oddziałów” Żoliborza, Marymontu i Bielan i natychmiast powracał na Żolibórz.

Pułk. Żywiciel wydaje rozkaz od działom do powrotu na Żolibórz. Powstańcy przyjmują go z głuchym pomrukiem i szemraniem, po co właściwie opuścili Żolibórz, przeszli tyle drogi, pomęczeni się, odparzyli nogi, aby z niczym wracać. Nadomiar znów pada ulewny deszcz. Kolumna ociężała formuje się i powoli rusza marszem ubezpieczonym. Ciemności tak gęste, że o krok nie widać. Długa kolumna rozciąga się i dzieli. Młody żołnierz bez wykształcenia polowego nie umie utrzymać łączności, ani zachować się bojowo. Kolumna przerywa się około m. Gać. W pewnej chwili mjr. Serb spostrzega, że jest tylko z częścią oddziału kpt. Szkodnika. Sytuacja staje się niebezpieczna. W rozkazie nie była podana marsz-

ruta. Można wpaść w zasadzkę ogniową.

Około Wólki Węglowej powstaje zamieszanie. Ujrzało jakiś oddział, lecz dlaczego maszeruje spokojnie, jak gdyby powstańców nie widział? Jak później się okazało, byli to Węgrzy.

Po godzinnym błądzeniu w ciemnościach udaje się dołączyć do głównej kolumny. Żołnierze przemoknięci i zmęczeni ledwie już widać nogami, to też kolumna posuwa się zółwim krokiem. Budzi się dzień pochmurny i zapłakany. Gdy kolumna zbliża się do Wawrzyszewa można ją było już dostrzec na maziwickiej równinie na kilka kilometrów. Chłopi powychodzili z chałup i zza opłotków przyglądają się ze zdziwieniem tym luźnym grupom cywilów, dziwnie ubrojonych, idących raczej na jakiś odpust do cudownego miejsca, niż na odsiecz stolicy. Prowadzi ich starszy pan niskiego wzrostu z łaską w ręku.

Nieopisany harmider powstał we wsi, jak gdyby banda cyganów przyjechała, psy szczekają, jak gdyby się wściekły.

Powstańcy dochodzą do pierwszych domków Żoliborza. Tak wielka gromada nie mogła ujść uwagi patroli nieprzyjacielskich. Powstańcy osiągnęli Kolonię „Zdobyc Robotniczą”. Rozkwatowali się i mieli tu odpoczywać przez cały dzień, po czym po nastaniu nocy przejść na pobliski Żolibórz.

Nim powstańcy zdążyli zjeść śniadanie, nieprzyjacielskie patrole na tknęły się na oddział dywersji por. Szeligi.

Nieprzyjacieli szybko rozpoznał siły powstańców i narzucił krwawą walkę, której nie można już uniknąć.

Artyleria z Burakowa i CIWF-u, mając cele jak na dłoni, otwiera silny ogień i czyni wielkie spustoszenia. Małe schłodzone nowoczesne domki rozlatują się jak z kart. Ciężkie i ustronne dotąd osiedle robotnicze staje się piekłem. Powstańcy i ludność, nie mają się gdzie schronić, ponoszą ogromne straty, ogień ich dziesiątkuje. Ruszają nieprzyjacielskie natarcia. Powstańcy odpierają je z niesłychaną odwagą. Samochody pancerne i czołgi podjeżdżają pod same budynki. Tylko niewielu powstańców może brać udział w walce, gdyż reszta nie ma broni.

Najsilniejsze natarcie idzie od strony Żoliborza i Powązek na kompanie por. Szeligi.

Chłopcy bronią się z największą zaciętością i uporem. Ponoszą duże straty, około 14 zabitych i 30 rannych.

Nieprzyjacieli ostro napiera od Wawrzyszewa na zgrupowanie mjr. Serba. Staje się tu bardzo gorąco. Chłopcy wystrzelali wszystką amunicję. Pozostało około 60 granatów. Padło zabitych 23 ludzi i 60 rannych. Kompania Wojskowej Służby Ochrony Powstania poniosła największe straty, padł jej dowódca ppor. Lysy.

Sanitariuszki uwijają się wśród rannych. Księżka kapelani: Sady, Marczuk i jeszcze jakiś ksiądz z Bielan chodzą nieustannie wśród żołnierzy, udzielają pomocy, zagrzewiają do wytrwania. Na ich barki spada cały ciężar ewakuowania rannych i grzebania poległych.

Walki przeciągają się do zmroku. Powstańcy są otoczeni. Domy i zabudowania palą się wokół, wystrzelają rakiety.

Ppułk. Żywiciel zwołuje odprawę o godz. 22-iej. Decyduje się przebić na Żolibórz. Niektórzy oficerowie uważają, że to szaleństwo

Kapitan Szkodnik zaznacza, że jest to zbyt ryzykowne przedsięwzięcie i nikomu nie uda się przemknąć. Ulica Włocijańska jest zamknięta cekaunami.

W pewnej chwili pułkownik przyrywa te debaty i powiada:

— Panowie idziemy. W imię Boga nie wrzód. W akcji tej wezmą tylko udział ci, którzy mają broń, reszta powróci do puszczy. Pułkownik wyznacza dla nich eskortę. Czołową kolumnę, która ma maszerować na Żolibórz zbierze się o północy obok budynku „Bundu”, przy ulicy Żeromskiego. To ostatnie zarządzenie wywołuje sprzeciw wielu do wódców, nie chcą rozstawać się ze swoim żołnierzem, uszczupli to ogromnie stany, np. w zgrupowaniu mjr. Serba należało zostawić trzydziestu ludzi, major nie chce się na to zgodzić.

O północy wszystkie oddziały się zebrały. Nie ma tylko zgrupowania mjr. Serba. Pułkownik wysyła na wszystkie strony łączników, lecz ci nie mogą go znaleźć.

Major Serb powrócił z całym swoim oddziałem do puszczy.

Tej nocy oddziałom ppułk. Żywiciela udało się bez wystrzału dotrzeć na Żolibórz.

NA KOLE

Teraz pójdźmy na Koło. Przed godziną W grupy powstańców zebrały się na Górcach. Oczekują na broń, której jednak nie przywożą. Mają zaledwie kilka pistoletów i granatów. Zapadł wieczór. Pomura ciemność zakryła wszelką widoczność — wzmógł się niepokój. Czasem tylko rakietą wystrzeli jasna smuga z koszar boernerowskich i zaleje seledynowym światłem łąki. Śniące jak tafla jeziora.

Tymczasem uchodźcy przybywają z Koła i Woli i przynoszą hołbowe wieści.

Niemcy podpalają domy, wyciągają z mieszkań, rozstrzelują na ulicach.

Coraz potężniejsze łuny widać nad Bielanami, Wola, Marymontem i Powązkami.

Rozpacz i ogromne podniecenie rozszerza się wśród szeregow. Nie jeden z tej wielkiej gromady odrzuca ciężki wszystkie względy i biegnie na ratunek, gdyby nie przysięga żołnierska i wierność. I w ta pierwszą powstańczą noc serca żołnierskie szukają winowajców tej klęski, padają proste, ostre oskarżenia pod adresem wyższych dowódców.

Rozkaz por. Marysia przerywa dalszy wylew żalu i rozpacz żołnierskiej. Zwołuje on odprawę oficerów. Wobec takiej sytuacji i spodziewanego okrośnienia przez Niemców zapada jednogłośnie decyzja wymaszerowania do puszczy Kampinoskiej. Tam się dozbiorą i powrócą.

Ppor. Czerwiec (Henryk Jaskólski) poprowadzi ich, zna drogę.

„MIASTECZKO POWĄZKI

Teraz przeniesmy się do miasteczka Powązek.

Kapitan Sławomir (Witold Plechawki) miał opanować ze swojej grupą Fort Bema. Nie zdążył do kładnie zapoznać się z terenem, te też zamiast na wyznaczony obiekt uderzył przez pomyłkę na cmentarz wojskowy, obsadzony przez Niemców, zdobył cekaem, ale poniósł tak duże straty, że musiał wycofać się na Powązki. Przybył ze swoimi ludźmi na plebanie i miał zamiar przynocować w zabudowaniach, lecz miejscowy ksiądz proboszcz nie chciał się zgodzić, obawiając się represji Niemców. Wobec tego naprzelał przez pola dochodzą do wsi Homiczówka i tu zatrzymują

się, lecz ludność przyjmuje ich z trwogą i niezyczliwie. Nie chcą przyjmować banknotów pięćset złotych za żywność, więc powstańcy muszą użyć argumentu pięści i groźby.

NA OCHOCIE

Dowództwo obwodu Ochota znajduje się w nowoczesnych blokach Związku Ubezpieczalni Społecznych, przy ul. Niemcewicza 5. Jest cały sztab: ppułk. Grzymała (Mieczysław Sokołowski) dowódca obwodu, jego adiutant kpt. Pawlak (Janusz Chiczewski), szef łączności Czerw, kpt. Gronowski (Roman Talarek), oficer informacyjny. Wszyscy siłą się na spokój, lecz nikomu nie udaje się ukryć podniecenia. Wszyscy oprócz kwatermistrza Michała nie usiedzą minuty na jednym miejscu, przemierzają pokój niezliczoną ilość razy od okna do drzwi.

Butelki czerwonego wina stoją wśród rozłożonych na stole map, planów i szkiców sytuacyjnych. Czerwone wiśnie błyszczą jak rozlana krew, lecz nikt nawet na nie nie spojrzy. Ludzie ćmą papierosy za papierosem i w połowie niedopalone miazdzą brutalnie w rękach. W pokoju aż sypie od dymu. Brak broni ciąży jak miecz Damoklesa nad wszystkimi.

Co będzie jeśli powstanie nie zostanie odwołane i trzeba będzie rozpocząć walkę bez broni. Co chwila spogląda ktoś na zegarek, jak gdyby chciał, aby ta godzina nie wybiła, a przecież dotąd oczekiwał na nią z największym upragnieniem.

Coraz to salwy rozbrzmiewają od Placu Narutowicza, rechot karabinów maszynowych dochodzi zupełnie wyraźny i z najbliższej okolicy. Meldunki nadchodzą od kpt. Wacława i por. Stefana. Natarcie zabawało się na Kolonii Akademickiej. Wielkie straty w ludziach, szaleństwem byłoby ponownie uderzenie. Nie ma wiadomości od kpt. Władysława, dowódcy drugiego rejonu, miał on uderzać na Szkołę Nauk Politycznych i Główną Dyрекcję Lasów Państwowych.

I por. Gustaw nie nadesłał dotąd meldunku. Miał on opanować Szkołę Powszechną, na Tarczyńskiej. To najbardziej zadziwia i niepokoi, znają tego dzielnego i energicznego oficera.

Nie udało się nawiązać łączności z Komendą Okręgu. Wszystkie środki zawiodły. Wysłane łączniczki na umówione punkty nikogo nie zastały. Nie wiadomo, jak rozwija się powstanie w innych obwodach.

Odezwała się „szczekaczka uliczna”. Donosi, że garstka polskich bandytów na żołdzie brytyjskim podniosła zbrodniczą rękę przeciw Niemcom, jednak sytuacja została już opanowana.

Komendant wojskowy Warszawy nawołuje ludność do spokoju i odżegnania się od zbrodniczych i niepoczytalnych elementów. Niemcy ostrzegają, że bloki, z których padnie strzał będą zrównane z ziemią. Wymieniają rejon ulicy Grójeckiej.

Wszyscy znają igractwa radiowej propagandy, jednak zastanawia ostatnie zdanie, dlaczego nie wymieniają innych dzielnic i ulic. Czyżby ołomieni powstania nie objął całe stolicy. Kpt. Gronowski, oficer informacyjny, czyni różne wysiłki, aby zdobyć wiadomości. Wychodzi wraz z ppułk. Grzymałą na dach domu, gdzie mieści się dowództwo. Rakiety rozdierają ciemności. Kilka pożarów oświetla zachmurzone niebo. Więc odbywa się akcja bojowa i w innych dzielnicach stolicy.

Ppułk. Grzymała postanawia ściągnąć swoje oddziały i bronić się w nowoczesnym bloku domów, znajdujących się w czworoboku ulic: Grójecka, Niemcewicza, Asnyka i Filtrowa. Natychmiast przystąpił do barykadowania okien i bram.

Pułk. Grzymała zmęczony nieustanną pracą od kilkunastu dni zdrzemnął się w sąsiednim pokoju.

Tymczasem oficerowie zastanawiają się, czy jest sens siedzenia w stolicy, uczynienia z tego bloku Westerplatte, i zagrzebania się w gruzach. Jakie są możliwości obrony, czego mogą dokonać z taką ilością broni i amunicji, w takich warunkach terenowych. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy użyją lotnictwa bombowego, skoncentrują ogień ciężkiej artylerii i wciągną kilkunastu godzin małą przestrzeń nowoczesnych domów zamienia w usypisko gruzów. Czy mają prawo narzącać kilka tysięcy mieszkańców i powstańców, dla kilku godzin beznadziejnej walki?

Staje przed nimi alternatywa: niechybna zagłada w gruzach albo opuszczenie stolicy i dobrojenie się w lasach podstołecznych, aby dalej prowadzić walkę.

Kpt. Gronowski proponuje, aby wyjść za granicę miasta pod osłoną nocy, po czym maszerować wzdłuż toru kolei EKD. W rejonie majątku Reguly skierować się na las sekociński.

Jeden z oficerów budzi ppułk. Grzymałę, zaś kpt. Pawlak przedstawia projekt oficerów sztabu. Ppułk. Grzymała wyraża zrazu opinię, że obowiązkiem jego jest zostać, niezależnie od wytworzonej sytuacji. Dochodzi godzina druga. Niedługo będzie świtać. Udaje się przekonać ppułk. Grzymałę. Szybko padają rozkazy do wymarszu.

Udaje się niespostrzeżenie dojeżdżać do Szczęśliwiec a stąd podwieść powstańców wagonami kolejki EKD.

Pod Pęciami napotyka oddziały niemieckie. Wywiązuje się walka w szczerym polu. Nieuzbrojeni powstańcy zostają zdziśniętymi i rozproszeni, tylko nielicznym grupkom udaje się dotrzeć do lasów Chojnowskich. Wielu próbuje się ukryć w kopcach siana i w kartofliskach, lecz wyrusza gesta tyraliera niemiecka, wszystkich wyłapuje a następnie rozstrzelują ich w pobliskiej starej cegielni.

Dzisiaj 92 powstańców spoczywa w zbiorowej mogile pod majątkiem Pęcice.

Tymczasem por. Gustaw, nie mający łączności z ppułk. Grzymałą walczy osamotniony dalej na Ochocie.

Odcięty od swoich ludzi, z miejscą przystępuje do tworzenia sobie nowego oddziału, zdobywa broń, czołgi, obsadza spory teren, rośnie w siłę i liczbę.

Por. Gustaw — to świetny typ młodego oficera powstańca, który posiada niezachwianą wolę walki. Nie ma broni więc ją musi zdobyć i zdobywa, nie ma łączności to się tym nie zraża a walczy dalej z największą determinacją.

Po kilku dniach udaje mu się szczęśliwie wyprowadzić swój oddział z bronią do lasów chojnowskich.

NA MOKOTOWIE

Po zajęciu stolicy Niemcy zagarnęli wyłącznie dla siebie Mokotów i najbliższe okolice Alei Ujazdowskich i przez cały okres okupacji tworzyli niejako germańskie ghetto. Nowoczesne szkolne budynki i państwowe gmachy obrócono na koszarę broni SS i SA. Przez całe lata umacniano je systematycznie, tak, że tworzyły niejako fortece na wypadek nagłej agresji.

Z tego największego skupiska Niemców zagrażało powstańczej stolicy najpoważniejsze niebezpieczeństwo i największych wymagało wysiłków, aby je opanować. Dlatego pułk. Monter pozostawił pułk dyspozycyjny Komendy Głównej AK „Baszta”, aby wzmocniła lokalne siły obwodu Mokotów. Dowodził nią ppułk. Daniel (Kamiński). „Baszta” obsadziła Górny Mokotów i utworzyła IV rejon.

O godz. 15 por. Michał (Belina), artysta malarz, z oddziałem Dywersji Bojowej OS 5 obsadza gmach Państwowego Instytutu Hygieny, na Chocimskiej. Ma tutaj mieścić się kwatery ppłk. Przegoni (Hryniewicz), dowódcy obwodu V Mokotów.

Kilka granatów stanowi całe uzbrojenie tego oddziału. Później przybywa pluton Szarych Szeregów, lecz zupełnie bez broni, nie mają nawet granatu.

W pewnej chwili oficer niemiecki zajeżdża samochodem przed gmach Instytutu. Postępek powstańcy strzela od razu do niego. Oficer nie mniej osłupiał niż powstaniec wskakuje do samochodu i odjeżdża, powstaniec, który cofnął się do bramy, teraz strzela za nim, lecz chybia.

MP dowództwa jest zdekonspirowane. Postępek niemiecki sły szą strzały. Ppłk. Przegoni zdecydował pozostać, jednak wzmocniono czujność.

Tymczasem odgłosy walk dochodzą do cichych sal Instytutu od Alei Szucha, z Flackkaserne, na Puławskiej i ze Sztouferkaserne, na Rakowieckiej.

Około godziny 22 przychodzą pierwsi i ostatni gońcy, ale tylko od dowódcy pierwszego i piątego rejonu. Są to przeważnie mali chłopcy, z których najstarszy liczy nie więcej niż trzynaście lat. Musieli się przekradać pod ścianami domów i biec boso, aby nie zwrócić uwagi nieprzyjacielskich placówek. Ppłk. Przegoni jest odcięty od swoich oddziałów, nie wie, że nie posiada na Mokotowie wojska, które spłynęło w pierwszych godzinach walk powstańczych do lasów kabackich i chojnowskich. Po kilku dniach wychodzi ze sztabem do lasów podstołecznych. Wspomnieliśmy już, że pułk „Baszta” znajduje się na Mokotowie.

Batalion mjr. Majstra (Hofman) uderza od strony wsi Zagórciniec na tor wyścigowy na Służewcu, zdo bywa wiele broni i amunicji, lecz nie może się utrzymać. Pada rozkaz wycofania się na podstawę wyjściową. Nad ranem batalion ten otrzymuje rozkaz wymaszerowania do lasów chojnowskich. Jest tam już wiele innych grup powstańczych.

Oddziały obwodu Mokotów uderzały również w pierwszych chwilach powstania na siedzibę Gestapo, w Alei Szucha, najsilniej ufortyfikowany punkt oporu w stolicy.

Dyon „Jeleni”, 7 pułk ułanów pod dowództwem rotmistrza Języckiego (Gołuchowski) atakował od ulicy Bagatela. Słabo uzbrojeni chłopcy szli z kawaleryjską odwagą na potężne bunkry i gniazda broni maszynowej — toteż zostali zdziesiątkowani. Niemcy dobili wszystkich rannych a ciała ich spalili. Niewielu zdołało się ocalić z tego oddziału.

Równocześnie kompania kapitana Cegielskiego ze zgrupowania „Stanisław” atakowała teren zajęty przez Gestapo od strony ogrodu Łazienkowskiego i Botanicznego. Ciężki powstańczy moździerz otworzył ogień, lecz powstańcy nie mogli przekroczyć Alei Ujazdowskich. Kapitan Cegielski (dr med. Tadeusz Bartoszek) padł zabity.

W pewnej chwili Niemcy ukazują się od strony Łazienek na tyłach powstańców. Chłopcy niszcą więc swój moździerz, do którego już nie ma amunicji, zabierają rannych i szybko wycofują się.

Silna kanonada dochodzi ich z ulicy Podchorążych. To szwadron powstańców I pułku szwoleżerów i I Dywizjonu Artylerii Konnej atakują koszary I pułku szwoleżerów J. P. Słabo uzbrojeni powstańcy nie mogą opanować koszar mimo szalonej odwagi. Ciężko skrwawieni muszą wycofać się.

Do tego łańcucha niepowodzeń i nieudanych akcji, należy natarcie

na fort Mokotowski i lotnisko Okęcie. Były one silnie umocnione i obsadzone przez liczną załogę.

To też natarcie samodzielną grupą powstańczej „Madagaskar” (7 pułk piechoty leg.) i baterii „Kuby” musiało krwawo ugrzęznąć. Świadczą o tym liczne mogiły na cmentarzu wojskowym.

W STAROMIEJSKIEJ DZIELNICY

Po wybuchu powstania liczne oddziały powstańcze uderzyły na niemieckie punkty oporu i uzyskały pewne sukcesy; zajęto szkołę na Rybakach, ruiny zamku królewskiego, jednak nie dało się wyprzedzić Niemców z podzameczem.

Grupa szturmowa z batalionu „Bończa” zaatakowała dom Schichta, na Nowym Zjeździe, tworzący potężny punkt oporu na przyczółku mostowym. Natarcie powtarzano kilka razy, toteż niewielu powstańców wyszło z niego żywych.

Również odwody ppłk. Montera, dowódcy warszawskiego okręgu, koncentrują się w murach staromiejskiej dzielnicy.

Stanowią je zgrupowanie ppłk. Pawła (Paweł Rataj). Składa się ono z dwóch batalionów: harcercyjskiego „Wigry” i Narodowej Organizacji Wojskowej „Antoni”. Nie biorą one udziału w żadnej akcji. W nocy ppłk. Paweł z niewiadomych powodów decyduje się wyprowadzić swoje zgrupowanie ze stolicy do Lasek.

Bataliony przybywają nad ranem na cmentarz ewangelicki i zatrzymują się. Gęsta zieleń rozłożystych konarów starych drzew chroni przed potokami deszczu. Chłopcy są przekonani, że tutaj się zatrzymają. Ppłk. Paweł i rotmistrz Ludwik Alik, jego szef sztabu, chcą jak najprędzej maszerować dalej.

Wychodzi patrol oficerski z batalionu „Antoni”, pod dowództwem podchor. Juliusza 1040 (Chomicz), złożony z piętnastu podchorążych. Dochodzą do nasypu kolei obwodowej. Zajadły terkot karabinów maszynowych rozlega się z różnych stron. Wpadli w zasadzkę ogniową. Tylko dwóch podchorążych powróciło z tego patrolu. Wieść ta wywiera wstrząsające wrażenie wśród żołnierzy, a konsternacja wśród dowódców.

Ppłk. Paweł traci zupełnie głowę. Rotmistrz Ludwik, człowiek twardy, stary kawalerzysta płacze jak dziecko na wieść o śmierci tylu młodych inteligentów, studentów Politechniki i Uniwersytetu.

Dowódcy decydują się jednak maszerować.

Szpic wychodzi z murów cmentarza, za nią inne kolumny, właściwie idą dwójkami, jak na wycieczkę szkolną. Prowadzi ich ppłk. Paweł i mjr. Antoni, niemal wszyscy są bez broni, niektórzy mają butelki samozapalające w rękach. Ci, którzy posiadają jakąś broń idą jako ubezpieczenie.

Kolumna posuwa się powoli i ostrożnie wśród małych drewnianych domków i parkanów Koła, brodzi przez ogródki działkowe. Rozlegają się wystrzały, serie cekaemów, kolumna pada na ziemię i ginie z oczu między opłotkami.

Nadbiega łączniczka. Rozlega się komenda: powstań! Oddziały powracają na cmentarz.

Zgrupowanie ppłk. Pawła pozostaje na Woli.

Należy tu wspomnieć, że chaos panuje najdłużej w staromiejskiej dzielnicy.

Liczne oddziały powstańcze, zebrane tutaj nie posiadają do dnia 7 sierpnia naczelnego kierownictwa. Każdy dowódca robi, co mu się podoba, każdy walczy na swoją rękę.

Dopiero wtedy ppłk. Monter decyduje się wyznaczyć ppłk. dypl. Wachnowskiego (Karol Ziemiński) na dowódcę oddziałów zebranych w staromiejskiej dzielnicy, na Żoliborzu i w puszczy Kamparskiej. Lecz jest już za późno. Wachnow-

ski nie może się przedostać na Żoliborz, ani do Śródmieścia, pozostaje na Starym Mieście, gdzie samorzutnie tworzy dowództwo grupy „Północ”.

NA POWIŚLU

Niepełny byłby obraz pierwszych godzin i dni powstania, gdybyśmy nie przedstawili tego, co działo się na Powiślu. Dwa zgrupowania znajdowały się na tym terenie (kapitana Krybara i kapitana Szawdyna). Wchodziły one w skład I rejonu Śródmieście, którym dowodził mjr. Rog.

Tuż przed godziną 17 kpt. Krybar (Cyprian Odorkiewicz) przyjmował ostatnie meldunki o gotowości bojowej swoich oddziałów w lokalu wyczekiwania Sewerynow 5. Mobilizacja jego oddziałów powiodła się, przybyło 70 proc. stanów. Choć wszyscy byli zawiadomieni, jednakże część wypadki zaskoczyli w drodze.

Nastroje wśród powstańców były pełne poświęcenia i entuzjazmu, a jednocześnie gorzkiego zawodu. Znowu zerwali się do walki bez broni. Kapitan stwierdzał, że autorytet i zaufanie do dowódców zmalało jeszcze przed wyruszeniem do walki. Podkomendni przypisywali brak broni swoim bezpośrednim do wódcom.

Oddziały czekają na rozkaz uderzenia.

Kompania druga por. Biczka (Marian Mokrzycki) ma wtargnąć na uniwersytet od strony ulicy Oboźnej, zaś kompania por. Dana (Edward Kielczykowski) rozmieszczona u podnóża skarpy (garbarnia na na Powiślu) ma stamtąd uderzyć na uniwersytet.

Trzecia kompania por. Lewara (Jan Piotrowski) ma opanować gmach Komendy Głównej policji granatowej (tuż przy kościele św. Krzyża), zaś czwarta por. Poboga (Tadeusz Malinowski), zebrana w zabudowaniach Miejskich Zakładów Oczyszczania Miasta na Powiślu, ma opanować Pałac Radziwiłłowski — Prezydium Rady Ministrów.

Wszystkie te objekty są silnie trzymane przez nieprzyjaciela. O godzinie W powstańcy moździerz zaczyna strzelać. Trzeci jego strzał jest znakiem do uderzenia.

Tymczasem wywiązała się tak gwałtowna strzelanina i kanonada, że nie można odróżnić kto, gdzie i z czego strzela, nawet wprawne uszy starych żołnierzy nie umieją rozróżnić.

Mury Uniwersytetu zioną ogniem.

Sekcja pionierów dopada z bezprzykładną odwagą do zasiłek od ulicy Oboźnej, tnie nożycami druty pod mordeczym ogniem, chce wyciąć przejście. Pionier Sas (Suszynski), chłopiec z bursy na ulicy Królewskiej, zwiśla przesyty serią. Zaledwie kilkunastu ludziom udało się przeskoczyć szczęśliwie przez ulicę i dostać się pod mur i płot otaczający uniwersytet, lecz dalej posuwać się nie mogą.

Por. Niesobia wysłał pierwszą grupkę, uzbrojoną w peony pod dowództwem podchor. Mistia, po czym podchor. Szary Wilk stara się przeskoczyć przez ulicę, aby wesprzeć plutony Wieniawy i Bartnickiego. Kilku zabitych leży na ulicy.

Kapitan Krybar widzi, że ogień z uniwersytetu nie słabnie a wznowa się. Widząc, że powstańcy nie będą mogli zniszczyć gniazd broni maszynowej, daje rozkaz zaprzestania ataków.

Silną kanonadę słyhać od skarpy. Tam walczy kompania Dana i wdziera się na wysoką skarpy.

Kapitan Krybar wciąż nie wie jaka tam sytuacja.

Tymczasem nieprzyjaciel prowadzi z uniwersytetu gwałtowny i niustanny ogień wzdłuż przyległych ulic, uniemożliwiając i paraliżując wszelki ruch.

Całe dowództwo zostało niejako odcięte od swoich oddziałów i od dowódcy rejonu.

Nieprzyjaciel jest usadowiony w świetnie rozbudowanych stanowiskach, oddalonych zaledwie o kilka dziesiąt kroków od MP dowództwa i trzyma je pod ogniem. Godziny płyną powoli w niesłychanym napięciu nerwowym. Szumi ulewa. Strzały słyhać z murów uniwersytetu, z Sewerynowa, z Oboźnej i Powiśla.

Rodzą się czarne myśli i ponure przypuszczenia. Zapewne powstanie zostało stłumione. Szaleńczo na tarcia powstańców na objekty naspikowane najnowocześniejszą bronią załamały się krwawo. Głębokie skupienie rysuje się na twarzach na niektórych znać wyraźne przegnębienie. Obawa czyni największe spustoszenie wśród sanitariuszek i łączniczek. Oczekują, że lada chwila zjawia się samochody z esesmanami, otoczą dom wywołką na ulicę i pod murem rozstrzelają. Będą się bronić, lecz nie nadługo starczy amunicji. Mają trzy pistolety, kilka granatów. Straszne jest oczekiwanie i bezbronność.

Oczy oficerów i szeregowych spoczywają na dowódcy zgrupowania — szukają odpowiedzi co będzie dalej?

Jest spokojny, jakgdyby siedział w normalny czas w swoim gabinecie, w miejskim biurze.

Kapitan Krybar nie ma wciąż łączności ze swoimi pododdziałami. Dopiero podchor. Aspirant przybywa w nocy, choć ranny udało mu się przekraść. Od niego dowiadują się, że natarcie na uniwersytet od strony skarpy załamało się krwawo, resztki kompanii Dana wycofały się do elektrowni.

Natarcie kompanii por. Poboga nie dało rezultatów, również resztki kompanii Biczka wycofały się ze strażnicami na ulicę Tamka. A więc całkowity krach.

Jedynie ucieczyła wszystkich wiadomość, że powstanie w stolicy trwa, że ochotnicy napływają do oddziałów, mieszkańcy prześcigają się w ofiarności.

Teraz kpt. Krybar decyduje się wyrwać z domu, zamkniętego ogniem. Wybijają otwór w ścianie i przechodzą na teren sąsiedniej kamienicy, a stamtąd na ulicę Bartoszewicza.

Ale powróćmy jeszcze do pierwszych chwil powstania.

Gdy powstańcy nacierali na uniwersytet od strony skarpy dochodziła ich donośna kanonada z nadbrzeżów Wisły.

Trafnie przypuszczali, że toczą się walki o uchwycenie mostów na Wisle o zdobycie elektrowni.

Na kilka godzin przed rozpoczęciem powstania robotnicy należący do organizacji ściągają do Elektrowni.

Kpt. Cubryna (inż. Skibniewski), komendant elektrowni i jeden z jej dyrektorów i por. Kowalski (Kahl), jego zastępca otrzymują na dwie godziny przed wybuchem powstania dwadzieścia pistoletów, w tym tylko dwanaście możliwych do użytku, pięć pistoletów typu „Blyskawica”, ale bez magazynów, ponad to 50 granatów.

Do ostatniej chwili zapewniano ich, że otrzymają broń na cały stan. Wobec takiej sytuacji zamiast stua górną ludzi przeznaczają do akcji tylko 63.

Jedna z grup zbiera się na najwyższym piętrze w warsztacie liczników, jakgdyby do wykonania jakiejś pilnej i skomplikowanej pracy. Są tutaj inżynierowie, urzędnicy i robotnicy.

Główna Wartownia znajduje się na dole w tym gmachu. Załoga niemiecka elektrowni została ostatnio silnie wzmocniona. Składało się na nią dwustu Niemców, Własowców i Ukraińców. Jest także oddział stołeczny SA złożony z „foksterriów”. Niemcy posiadają dwa ceka-

emy, osiem erkaemów i kilkanaście pistoletów maszynowych. Przede wszystkim trzeba zlikwidować główną wartownię. Dowódca zapoznaje powstańców z planem opanowania jej. Odliczają. Jest ich dwudziestu kilku. Po nad to dwóch podchorążych znajduje się na dole w lokalu sąsiadującym z wartownią.

Dopiero przed chwilą ukończyli preparowanie bomby. Dwie godziny temu dostarczono im plastik i szedyt. Czekają cierpliwie na znak. Co chwila spoglądają na zegarki. Minuty i sekundy wloką się jak wieki.

Nagle echa strzałów dochodzą ich z Powiśla. Więc stolica zerwała się do walki. Łowią wszystkie odgłosy. Nagle za ścianą słyhać dźwięki telefonu i liczne kroki.

Feldfelbel krzyczy alarm! Alarm! Rozlega się sześć ładowanych karabinów. Napięcie nerwowe podchorążych dochodzi do szczytu.

Nie czekają już na znak, zapalają lont Picforta. Szybko chronią się za ścianę. Obserwują jak ognista mrówka posuwa się po ciemnym drucie. Straszliwy wstrząs zatargał ścianami gmachu. Poleciały ściany, futryny i drzwi.

Powstańcy pędzą po schodach z góry, w rękach mają granaty. Rzucają jedne za drugimi. Powstańcze fajpinki czynią ogromne spustoszenie, rozwalają drzwi, ściany.

Niemcy są ogłuszeni, zdeorientowani, zbijają się w bezładną kupę, coraz to któryś z nich pada. Członkowie SA poddają się. Zandarmi i Ukraińcy wiedzą co ich czeka, chronią się do piwnicy. Samozapalające butelki leżą za nimi. Powstańcy wytaczają hydranty i puszczaają silne strumienie wody. Niewiele Niemcom udaje się zbiec przez mury ku przyczółkom mostowym.

Teraz rozpoczyna się likwidacja Niemców w innych miejscach elektrowni, jak w kotłowni, rozdzielni i maszynowni.

Wywiązują się krótkie gwałtowne walki. Wielkie hale, zalane potokami jasnego światła. Ziemia drży w posadach. Wszystkie turbiny i maszyny tętnią całą pełnią życia i energii.

Walka wre wśród nich. Detonacje i wystrzały rozlegają się zewsząd.

Robotnicy i inżynierowie mają dumną ambicję, aby powstańczej stolicy oddać nienaruszoną elektrownię, a dla siebie zachować warunki pracy. Nie spuszczaają więc oczu z maszyn i turbin.

Niemcy ukryli się w różnych kamarkach i kątach, za cielskami motorów i turbin, na galerijkach i rozpaczliwie się ostrzelują. Robotnicy walczą z nimi, ale równocześnie doglądają maszyn. W czasie walki w głównej maszynowni za brako granatów, więc biorą wielkie oświetleniowe lampy i izolatory i rzucają je. Wybuchają z ogromnym hukiem, świetnie imitują zaczepne granaty. Opanowanie elektrowni drogą została okupione.

Oddali swoje życie: por. Dan (Edward Kielczykowski), nauczyciel szkół powszechnych na Woli, stary żołnierz konspiracji, niestrudzony organizator podziemnych oddziałów, człowiek wysokich wartości. Wraz z nim zginął inż. Wierciński (Aleksander Rohntaler), syn stołecznygo pastora.

Padł inż. Zygmunt Bobiński, robotnik Koła i jeszcze wielu innych.

PYTANIA I REFLEKSJE

Trudno przytoczyć więcej faktów dla poparcia stwierdzenia, że sytuacja bojowa w stolicy tuż po wybuchu powstania była krytyczna.

Pierwsze godziny i dni powstania przytaczają ogromem strat wśród młodzieży, przyszłej inteligencji polskiej, najbardziej ofiarnej, aktywnej i patriotycznej. Zastanawiają przyczyny niesamowitego chaosu i dezorientacji.

(dokończenie na str. 10-iej)

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

10

LOT JASKOLEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem“

Na ile jednak istniał? Bez wątpienia, ciekawil Krystynę: poprzez niego w granicach jej świata, który można było rowerem objechać w dwie godziny, tworzyła się luka. Za wyrwą szumiła inna woda, było w ogóle inna cześć i Krystyna dziwiła się nawet jak niejednakowe są ludzkie sposoby bytowania. Nie chodzi już o sam los, o to, co nazywamy losem. Ani nawet o rodzaj wrażliwości, to wszystko byłoby jeszcze do zrozumienia. Nie ludzkie było dopiero, że każdy człowiek inaczej widzi granice życia. To, co dla jednych wcale nie istnieje, innym zdaje się najważniejsze, potrzebne jak powietrze. I dlatego zapewne muszą istnieć walki. Przyrodniczy rozwój gatunku stracił swą jedynolitość, bieg nie tymczasem dróg i ścieżek, poprzez wzgórze ciżby i kotlinami, gdzie stapać można tylko powolnym krokiem. Jedno było dla Krystyny w Ksawerym zajmujące przede wszystkim jako pytanie: jego maskowanie, a jednak ujawniająca się pogarda dla nazwisk z szyldów, dla ludzi, posiadających sklepy, dla wszystkich, którzy byli związani z użytkowością w życiu — od wynalazcy spiniek do kołnierzyka, kończąc na rzeźniku, na piekarzu. W imię czego? Czy ci ludzie nie są przede wszystkim potrzebni, czyż to nie oni właśnie stanowią ludzkość? Rozmawiali kiedyś o tym we troje, z Tadeuszem, i Tadeusz rzucił to pytanie, które Krystynie wydawało się zresztą nazbyt scholastyczne, nazbyt docieklawe. Nie zastanawiała się nigdy nad tym, kto tworzy ludzkość. Ludzkość jej nie interesowała, obchodził ją człowiek. Przede wszystkim człowiek odrębny, człowiek dużego formatu — i czuła, że to określenie raczej odnieść można do Rauchenberga, niż do Ksawerego. Nie dało się zaprzeczyć, że z nim także czas schodził szybko i przyjemnie. Ksawery bardziej niż Rauchenberg umiał obiektywizować czas, dawać mu ramy. Rauchenberg wszędzie wpychał siebie, był zawsze na pierwszym planie. Nie lubił kina ani teatru jakby w zadrześci o akcję filmu, o akcję dramatu, która na parę godzin zamieniała go w widza w statystę. Krystyna niesłychanie lubiła chodzić do kina. Rauchenberg robił niekiedy dla niej ustępstwa: chodzili do małych drugorzędnych kin na przedmieściach, na bocznych ulicach. Nie dał się ani razu namówić na wielkie kina śródmieścia. Przynosił czekoladę, ciastka, cukierki, cokolwiek, co pod kresliłoby, że oglądanie ekranu nie jest zadaniem. Słyszała, jak jadł głośno, co parę minut wciskał jej coś do ręki, nieledwie do ust. Był niemożliwy jako widz w kinie, wolała już chodzić sama, aby móc w pełni powierzyć się ekranowi. Przez niemal rok znajomości z Rauchenbergiem nie poznała żadnych jego prywatnych znajomych poza Alicją, Alicją, która była ostatnią oficjalną kochanką Rauchenberga. Alicją, na której wspomnienie machał z lekceważeniem ręką.

— To już skończone, bez reszty skończone — mawiał, choć nigdy nie chciał powiedzieć dalszego.

Inaczej było z Ksawerym. Nie wiedziała, czy Ksawery poprostu obawia się być we dwoje dlatego, że to jest nużące, jeśli nie prowadzi daleko, jeśli nie wiąże ludzi. Może właśnie tego się lękał. Powiedział jej kiedyś, że samo częste obcowanie z jakimś człowiekiem musi prowadzić do pogłębienia stosunku do niego, musi prowadzić do ostateczności — do miłości lub do nienawiści. Nie można kogoś widywać często i nie mieć do niego uczuciowego stosunku. Wytwarza się wtedy stan infekcji i stan więzienia, od którego później można się uwolnić już tylko w jakiś dramatyczny sposób, przez zerwanie węzłów, które są mocne, bo zadzierzgnięły się niejako same, choć nawet się tego nie chce. Może nie dowierzał sobie, może potrzeba mu było czegoś więcej, niż dać mogą dwa światy psychiczne. Widywali się teraz codziennie, przedstawiał jej wciąż nowych ludzi i była rada, że to byli sami mężczyźni. Nie lubiła kobiet, w zetknięciu z kobietami budził się w niej natychmiast zmysł rywalizacji. Tego nawet nie wiedziała o sobie, że nie znoś, aby się nią nie zajmowano. Czuła się dobrze dopiero wtedy, gdy stanowiła przedmiot u-

wagi. Nie znosiła jednak krytyki, nie mówiąc już o niechęci. Nie wytrzymywała takiej atmosfery, gdzie nie odczuwała życzliwości, bezwarunkowej, bez zastrzeżeń. Rauchenberg to wiedział i uwzględniał w postępowaniu z Krystyną. Nie zajmował go jej los, nie miał zamiaru jej zmieniać w tym, co stanowiło jej indywidualność, jej istotę. Działal pochlebstwem, które brała jako objaw życzliwości. Nawet jej mania spóźniania się, absolutnie nieopanowanie czasu, niemal codziennie musiała jeździć do biura taksówką i mimo to nigdy nie mogła zdziżyć na czas, spóźniała się z reguły, nawet i to stanowiło moment, aby ją podziwiać. Jego przygany za spóźnianie się były dyskretne, miały niepozorny sens doraźny, ale uwzględniały metafizyczną wielkość jej stosunku do czasu: podkreślał, że Krystyna nie umie pogodzić swej wewnętrznej miary czasu z czasem fizycznym. Widział w tym nie niezręczność przewidywania, nie tę niezręczność, która w biurze narażała ją na kosztowne uwagi, lecz niezależność moralną, olbrzymią swobodę wewnętrzną. „To dopiero jesteś prawdziwa Ty, mówił, sama nie znasz swoich możliwości“.

W tym okresie, kiedy Rauchenberg przebywał w Paryżu, z żoną i dwoma synkami, poznawała więc nowych ludzi, poprzez nich pomnażała swoją wiedzę o świecie — aż do zachłyśnięcia, aż do zdziwienia. Był to proces dla wpływów Rauchenberga niesłychanie mało korzystny, tym bardziej, że przecież nieobecni nie mają nigdy racji. Po raz pierwszy może odkryła, że młodość ma swój odrębny klimat, klimat nie do podrobienia, w którym wszystko jest łatwe i gwałtowne, wykonaniem poprzedza projekt, kiedy się walczy — jak Zatoński — o wszystko i ze wszystkimi. Zresztą, Artur nie budził w niej specjalnego nabożeństwa. Artur stał obwieśzonym swoim nasepieniem, zamieniony w jakimś lekceważeniu dla otoczenia, nie mający nigdy dla otoczenia dostatecznej ilości czasu, zawsze nawracający do własnych myśli. Tylko one się liczyły, przerywały cudze zwierzenia, nie poddawały się cudzemu biegowi myślenia: przeciwstawiał mu zawsze siebie, swoją wewnętrzną lawę, z pozoru gorącą i namiętną, w dotknięciu jednak wysychającą i ostygłą. O ile bardziej lubiła Aleksandra Mokackiego. Obaj Mokacy mieli ten sam rys, nieco nawet denerwujący: przysłuchiwali się, nie mówiąc słowa z jakims rodzajem wyrozumiałości i pobłażania. Może nawet z ubolewaniem, że ktoś zadaje sobie aż tyle wysiłku, aż tyle wiary. Obaj, Alex i Juliusz, choć nigdy nie formułowali treści, byli przekonani, że w życiu należy jak najmniej robić, jak najdłużej być nieruchomym. Życie i tak samo napływa do warg, do oczu. Jeżeli się wychodzi tej fali na przeciw, można ją łatwo ominąć, na nią nie natrafic. Juliusz był przystojny, miał urodę nieco filmową, może poza pewną tendencją do otyłości, podkreśloną przez lenistwo ruchów. Mimo paru lat różnicy, Alex wydawał się młodszy od brata. Miał twarz anioła: bez śladu zepsucia, bez śladu znużenia. Ale był wewnętrznie znużony i tego nie tał, choć raczej należał do natur wybitnie skrytych. Zawód dyplomaty nie przedstawiał dla niego więcej uroku niż zawód dentysty. Jedynym jego zaleczeniem było w oczach Alexa, że nie należał do zajęć banalnych. Nie podlegał kontroli, zaletą dyplomacji było dla Aleksandra to, że nikt się do niej nie mógł mieszać, naturalnie poza parlamentem i prasą. W stanie rzeczy, jak się wytworzył po roku 1926, wszelkie próby w mieszania się z zewnątrz do spraw zagranicznych były w zarodku pozbawione szans. Opinia publiczna musiała się kontentować prawem do pisania artykułów i do rozmów po kawiarniach.

— Bardzo szczęśliwy stan rzeczy. Jedyne miejsce, gdzie można mieć spokój.

Ksaweremu przypominał się Podolski z czasów jego krótkiego okresu w prezydium Rady Ministrów. Od wiosny, kiedy objął stanowisko szefa gabinetu premiera, do września, kiedy wniósł prośbę o zwolnienie, we wszystkie dni słoneczne około jedenastej wychodził do ogrodu, tarasami opadającego

ku Powiślu. Powolnym krokiem mijal alejki i zatrzymywał się przy cieplarni. Słońce piekło, w czerwcu i w lipcu nie do wytrzymania. Wyciągał na rozmowy ogrodników i słuchał szmeru wodotrysku, bijącego w cieniu lip i klonów z górnych tarasów. Zięby goniły się po gałęziach, Wisła płynęła w dół jak żyła srebrna. W dni doszczewne miała barwę rtęci. We wrześniu owego roku było dużo opadów i Podolski nie schodził do ogrodu. W końcu poprosił o zwolnienie ze stanowiska: jak by widok ciemno-popielatej wody z okien stał się już nie do wytrzymania.

IV.

Namiętność jest dla mężczyzny żywiołem obcym i jak każdy żywioł — nierozumnym, mężczyzna nie może zrozumieć, co sprawia, że zostaje zepsuta równowaga życia. W końcu nie próbuje rozumieć, poddaje się niepokojowi wewnętrznemu, który jest istotą namiętności. Dopiero później, gdy głód zostanie nasycony, przychodzi stan uświadomienia, stan gorczy i drwiny z samego siebie. Ale o tym, co może być kiedyś, Ksawery nie był zdolny myśleć, jak nie mógł teraz myśleć ani o mecenasie Goślickim, ani o Konradzie, o którym nagle zrobiło się zupełnie głucho. Jak o kamieniu, który spadł w głębinę: wody go pokryły i przez spokój gładkiej powierzchni ukrywały wręcz jego martwe i ślepe istnienie w mrokach dna. Wyglądało jak gdyby Konrad był po zupełnym bankructwie. Nic nie zostało z jego teorii rewolucji młodych pokoleń przeciw dziewiętnastemu wiekowi ani z próby wielkiej ugody pokolenia legionów i pokolenia pierwszej w niepodległości burzy i naporu. Atmosfera elektryczna z przed paru miesięcy rozładowała się i zmierzała do stanu obojętności. Jeśli co ją mąciło, to tumany kurzawy z ze wnętrza. Odgłos wichury, kłębioccej się w wirach piaskowych cichł jednak, gdy dolatywał do Wisły. Czeremchy, a potem bzy, rozpoznały swoje kolorowe władanie, władanie zapachów, silnych zwłaszcza o wieczorze.

Miłość jest także walką. Walka może nie być widoczna, ale istnieje. Istnieje na wewnątrz — jako pragnienie zlikwidowania w sobie tego wszystkiego, co miłości nie jest potrzebne, co jej zawadza, na co nie ma czasu, co się jej przeciwstawia. I walką z drugim człowiekiem: wysiłek poskromienia, porządkowania go sobie. Przechodzi się przez zwątpienie, przez rozpacz, gdy ten wysiłek chwilami wydaje się niemożliwy, daremny. Przechodzi się przez nastroj zwycięstwa, gdy został zdobyty jakiś jeden okop, gdy przeciwnik na jednym drobnym odcinku się poddaje. Nigdy się przecież nie kocha całego człowieka, jest w nim zawsze coś, co się odczuwa, czego nie można przyjąć, co się chciałoby wytąpić. W kimś obojętnym te cechy pozostałyby niezauważone. Ale miłość uważa, że musi być aktywna, jest aktywna z instynktu. Pragnie się nie wstydić w drugim człowieku tego, czego nie chce w nim uznać. Nie można kochać doskonałości, nie ma takich ludzkich natur, któreby były doskołałe i mogłyby budzić miłość. To złudzenie. Miłość nie pojmuje siebie bez walki, która przynosi cierpienie i nieszczerą chęć ucieczki. To cierpienie jest sadyistyczne, daje głuchą rozkosz. Rozkosz, jaka się wiąże ze spotęgowaniem doznania, ze spotęgowaniem życia. Miłość czeka na swoje zbawienie, jest przygotowana na drogę ciernistą. Wie, że oczekuje nagrody. I najgorsza jest to, sądził z przedwczesną mądrością Ksawery, że nagroda okazuje się potem zbyt nikła, nie warta całego trudu. Trud był złudzeniem, tworzy się upokorzenie, żal skąpca, który przez godzinę zadawał sobie przymus i był rozrzutny.

Najwięcej jednak zatruwał mu doszłą wdok Krystyny. Próbował jej mówić o tym, co czuje, ale ta spowiedź była właśnie zbyt uczciwa. Słuchała go z roztargnieniem, zamykała mu palcami powieki.

— Po co się tak męczyć, przecież nie o to zupełnie chodzi. Nie wolno ci mnie do czegoś tam, co wymyśliłeś, naginać. Musisz mnie przyjąć jako jestem.

Zaprzeczał bez słowa, poruszeniem głowy. Właśnie to go zastanawiało, że dla Kry-

styny ich stosunek był niemal pozbawiony problemu. Miała się śmiać się i skupiać uwagę na rzeczach, które teraz dla Ksawerego przestawały istnieć. Było tylko jedno natężenie, jeden wysiłek: chodziło o nią. Chciał by nakarmić się tą całą innością, która tworzyła jej naturę, przejąc tę inność na własność, lecz to było niemal niemożliwe. Wymykała mu się między palcami; trwała zabawa w chowanego, Ksawery czuł, że ma przewiązane oczy. Wielkie zagadnienie ciała, ciała, które nie potrzebuje języka ani słowa, które stwarza most porozumienia i pojednania. Jeżeli jednak po tym moście nikt nie przechodzi, jeżeli ten most, stworzony dla ruchu, zarasta kurzem niesionych przez wiatry rzeczne piasków? Wtedy stoi jeszcze czas jakiś nad wodą, rozpięty łukiem zbyt śmiałym, zbyt nietrwałym. Wali się, nim wiosną kry w zgrzytaniu uderzą o filary i o przyczółki. Ginie nie od powodzi nawet, katastrofę zawdzięcza temu, że był niepotrzebny, że zbudowany był z materiału, który w przechodniach widać nie budził ufności, który wydawał im się niedostateczny, aby nań wstąpić, aby mu powierzyć swoje życie. Można go odbudować, to prawda. Na jak długo, to pytanie.

Z gorczy mądrości, która jest daremna i bezskuteczna, bo chociaż rozczarowana, to jednak pragnąca wiary, pragnąca cierpienia jako wody, przynoszącej ozdrowienie (nie, wcale nie odrodzenie: może nawet chorobę, dzięki której żyje się szybciej, wyraźniej, w sposób bardziej dotykający), Ksawery rozmyślał, że nie byłoby cierpienia w miłości, gdyby człowiek mógł na siebie spojrzeć przez oczy przyszłości, przez oczy tego czasu, którym kiedyś będzie. Już po wyzwoleniu spod okrucieństwa i spod oroku miłości, po wyzwoleniu, które napewno nasąpi. Jeszcze przed nadejściem starości, przed nadejściem ostatecznej rezygnacji. Po prostu, gdy się dopali ognisko, ustawione dla tej jednej chwały i gdy po ostygnięciu popiołów nastąpi chwila psychicznego wypoczynku, doznanie krystalicznej trzeźwości, nim wytworzy się głód nowej sławy, nowego pragnienia. Czy wtedy jednak kiedykolwiek istniałaby miłość? Miłość, która jest tak bardzo podobna do sławy. Sława rozpręstrzenia w ludziach nasze imię, jego zgłoski. Miłość rozciąga nasz świat w drugim człowieku. On nas wtedy powtarza w sobie, nie tylko nasze imię — w jego brzmieniu pełnym lub spieszonym, lecz nas, nasze usposobie nie, nasze pragnienie. Pragnienie, które może być ugaszone, lecz nigdy nie może być zaspokojone.

Spoglądał na Krystynę niemal z niechęcią, niemal z lekceważeniem. Napewno nie było w niej niczego, co jej przypisywał. W końcu, co jej przypisywał? Ale to właśnie była tajemnica, nie wiedział. Wiedział, że tylko i wyłącznie ona miała teraz władzę uciszenia niepokoju, władzę wzmożenia doznania. Uciszyła niepokój serca poprostu gdy była, gdy mówiła rzeczy najbardziej obojętne. Można było pod te słowa podkładać wszystkie potrzebne znaczenia, gdy tak obok siedziała, ze stopami w czarnych pantoflach z zamszu, zestawionymi równo i dokładnie, pochylona, z papierosem w palcach, z oczami zanępkowanymi i szczęśliwymi jednocześnie. Runąć w tył, naprzód — obojętnie. Samemu przymknąć oczy, nie myśleć, nie — właśnie myśleć, o niej, o jej jedynym imieniu. Jej imię, unosiło się nad Ksawerym jak korona wierzby nad strumieniem, jak kwiat wysoki, w którego cieniu przypadł do ziemi zmęczony ptak.

Gdy jej nie było obok, rosła siła doznania. Przede wszystkim, znowu myśl o niej. I ta wielka potrzeba, która przejawiała się w rosnącej energii znalezienia jej, odszukania, gdziekolwiek byłaby, mówienia o niej. Usłyszeć jej niedostępną śmiech: teraz już wiedział, że dostępny. Ze ten śmiech łagodniał dla niego, że otwierał się na jego przyjęcie — jak ogród, w którym jest mała boczna furtka dla zaufanych. Drażniło Ksawerego, gdy nie mógł trafić do tej furtki, gdy pozostawał na zewnątrz — jak ktoś, kto musi moknąć na deszczu.

Ksawery miał wielką ochotę wyjechać na wieś, miałby: ta forma warunkowa jest właśnie ciwa. Nie decydował się na nic bezpośrednio, na nic stanowczego, co nie stało w związku z Krystyną. Śmiała się ciągle, droczyła się z Alekssem, starała się wytrącić go z nastroju wyrozumiałości. Właśnie ta była zacięta, zaczepna. Póki w końcu nie dała za wygraną.

(d. c. n.)

TYDZIEŃ KULTURALNY

PAPIEŻ DO ARTYSTÓW

PRZEMAWIAJĄC niedawno do grupy artystów transkaskich Ojciec św. powiedział między innymi: „Szczęśliwy ten artysta, który we wszelkim stworzeniu dostrzega odblask światła Stworzyciela. Wzniosłe jest posłannictwo artysty, który przyczynia się do tego, aby najtępsi ludzie widzieli i rozumieli naturalną piękność najskromniejszych spraw, a przez nie i wspaniałość Boską i, chociaż związani z ziemią, mogli podnosić wzrok i ciało ku niebu i Bogu, Poświęćcie swą twórczość i życie tej sprawie”.

STYPENDIUM IM. KRZYSZTOFA

KAMILA BACZYŃSKIEGO
KOMITET kwalifikacyjny ustanowiony przez p. Stefanie Baczyńską stypendium im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, powołany przez fundatorkę w osobach: Jerzego Andrzejewskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Turowicza i Kazimierza Wyki, postanowił jednoznacznie przyznać stypendium za rok 1948 **TADEUSZOWI RÓŻEWICZOWI**. Kwota wynosi 100.000 zł. Celem stypendium jest pomoc materialna dla młodych i dobrze się zapowiadających pisarzy. W miarę dochodów Funduszu Stypendialnego, stypendium to będzie przyznawane w latach następnych.

BRAWO POLSKIE RADIO

OCZYWIŚCIE brawo nie za program, za piękną i napewno skuteczną decyzję ufundowania pięciu rocznych stypendiów zagranicznych dla uczniów — muzyków z klas instrumentów dętych.

W związku z tym po eliminacjach przeprowadzonych w Wyższej Szkole Muzycznej na dalsze Studia do Konserwatorium w Pradze wyjechał Antoni Olejnik (obój), Stefan Jankowski (klarnet), Paweł Roczek (klarnet), Tadeusz Morawski (fagot) i Edward Wilezak (fagot).

OBRAZY TEATROLOGÓW

W Pradze, odbył się, z inicjatywy „Unesco”, I-szy Kongres Międzynarodowego Instytutu Teatralnego. W kongresie wzięły udział delegacje dwudziestu państw europejskich i poza europejskich, z Polski przybyli na kongres Arnold Szymański, Mieczysław Rulikowski i Ryszard Ordynski. Obradom przewodniczył autor „Inspektora” J. B. Priestley.

W toku obrad ustalono, że Instytut, powołany do życia w celu zbliżenia narodów przez sztukę teatralną, będzie pośrednikiem i informatorem w sprawach: repertuarowych, wymiany teatralnych zespołów artystycznych, wyjazdów słuchaczy szkoły aktorskich zagranicę i w organizowaniu międzynarodowych festiwalów teatralnych. Wierzymy, ponieważ kongres zakończył już swe obrady, iż jeden z trzech reprezentantów teatru polskiego zechce zapoznać społeczeństwo z przebiegiem i treścią obrad w sposób bardziej szczegółowy niż my to możemy uczynić mając do dyspozycji jedynie suchy komunikat jednej z agencji prasowych.

NAGRODY PAŃSTWOWE DLA ARTYSTÓW

13 lipca br. Komitet Ministrów dla spraw kultury ustanowił cztery nagrody państwowe a mianowicie: literacką, muzyczną, plastyczną i teatralną.

Nagrody przyznane będą 1-go stycznia każdego roku, a wynosić będą po pół miliona złotych każda.

Uchwała Komitetu Ministrów dość ogólnikowo stwierdza, iż nagrody będą przyznawane bądź za całokształt twórczości, bądź też za najwybitniejsze dzieło ubiegłego roku. Spodziewamy się, w związku z tym, że ledwie 5 miesięcy dzieli nas od ogłoszenia listy pierwszych laureatów, że w najbliższym czasie za-

poznamy się zarówno z regulaminem poszczególnych nagród, jak i ze składami jury.

Na tym samym posiedzeniu postanowiono powołać przy Ministerstwie Oświaty Instytut Badań Literackich, który będzie miał za zadanie organizację i publikowanie prac badawczych z dziedziny nauki o literaturze. Mówią, że kierownictwo tej instytucji obejmie dotychczasowy redaktor „Kuźnicy” Stefan Żółkiewski.

DALSZE SUKCESY NASZYCH ARTYSTÓW - OLIMPIJCZYKÓW

POLSKI komitet olimpijski otrzymał już pełną listę osób nagrodzonych w Olimpijskim Konkursie Sztuki, Oprócz Turckiego, który, jak już donosiliśmy, zdobył I miejsce i złoty medal w dziedzinie muzyki (za „Symfonię olimpijską”) wyróżniono w tej samej gałęzi sztuki „Kantatę olimpijską” Grażyny Bacewiczówny oraz „Kantatę żniwną” Wiechowicza.

W dziedzinie grafiki wyróżniono osiem szkiców Marczyńskiego, w konkursie rzeźbiarstwa wyróżnieni zostali: Bandura (za rzeźbę „Crawl”) i Strynkiewicz (za rzeźbę „Na mecie”).

Konkurs literacki wyróżnił „Ody olimpijskie” Jarosława Iwaszkiewicza.

No i to ważne, że deszcz odznaczeń spadł na artystów, którzy nie byli powoływani na żadne długotrwałe obozy przygotowani olimpijskich.

ZAMÓWIENIE SPOŁECZNE

MINISTERSTWO Kultury i Sztuki nawiązało (jak donosi prasa codzienna) kontakt w kompozytorami i literatami w sprawie napisania jednoaktowej opery ludowej na wysokim poziomie muzycznym i literackim.

Nad tworzeniem tej opery pracować mają: Lutosławski, Szelligowski i Rudziński, a libretto ma wyjść spod piór St. R. Dobrowolskiego, J. Gałczyńskiego i... Wysockiego (qui est-ce qui?).

Bardzo się boimy, że niewiele wyjdzie z tak pomyślanej imprezy. Czyż to można tak zamknąć sześciu panów i powiedzieć: napisać operę? Czy taki jest sens, terminu, zamówie nie społeczne? Czy Ministerstwo Kultury i Sztuki zdolne jest tak zorganizować pracę kompletu, by nad głowami delikwentów zawisło tzw. (jak się ostatnio coppersda okazuje — nikomu na nie niepotrzebne) natchnienie?

LEKARZE I LEKARZE DENTYSTY NA JASNEJ GÓRZE

„Cóż pomoże człowiekowi, jeśliby wszystek świat zyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł?”

Tymi słowami rozpoczęła siostra dr med. Wojno konferencję pielgrzymkową lekarzy i lekarzy dentystów na Jasnej Górze.

W dniu 3 i 4 lipca br. zgromadziło się w Częstochowie około 150 przedstawicieli tych zawodów, na trzeciej powojennej, co roku liczniejszej pielgrzymce lekarskiej.

Uroczyste nabożeństwo przed Cudownym Obrazem celebrował J. E. ks. Bp. Czajka, który po Mszy św. wygłosił podniosłe, okolicznościowe przemówienie.

W czasie konferencji wygłoszono następujące referaty:

Siostra dr Wojno „Życie wewnętrzne lekarza, a jego praca zawodowa”. Lek. dent. Perliński „Miłość motorem pracy lekarskiej”. Dr Hagmajer „Problemy zawodowe lekarza - katolika”. Ks. dr Wójcicki „Drogi i bezdroża medycyny”.

Dominantą przemówień było stwierdzenie konieczności pełnego zajęcia się chorym pod względem duchowym i somatycznym w czasie leczenia, oraz zwrócenie uwagi na poziom moralny lekarzy.

„Wieczór Maryjny” w dn. 3 lipca, prowadzony przez lek. - dent. Janinę Cyranową, pozwolił uczestnikom na głębokie przeżycie tematów maryjnych. Parafraza „Pod Twoją Obronę”,

oraz recytacje, objęły akty prośby, dziękczynienia i uwielbienia.

Inicjatywa lekarzy - dentystów katolickich winna znaleźć jak najwięcej naśladowców wśród innych zawodów

LUDOWY TEATR MUZYCZNY

Brak taniego a dobrego teatru dla najszerszych mas ludowych stolicy, zachęcił związki artystyczne, jak ZZASP, jak Zw. Muzyków itd. oraz grupę znanych artystów scen stołecznych do podjęcia inicjatywy stworzenia Ludowego Teatru Muzycznego. Została zawiązana spółdzielnia „Ludowy Teatr Muzyczny”, której dyrektorem został wybrany Jan Mroziński. Spółdzielnia dąży do budowy stałej sceny muzycznej, na której grane będą wodewille ludowe, muzyczne widowiska komediowe, operetki muzyczne, opery komiczne itd. Potrzeba tego rodzaju popularnego teatru muzycznego, którego kierownictwo spoczywające w rękach znanych aktorów, gwarantuje wysoką poziom artystyczny, staje się tym bardziej konieczne i palące, że w bieżącym sezonie Warszawska pozabawiona została — na skutek likwidacji sceny muzyczno-operyowej — widowisk muzycznych.

Aby ten cel zrealizować, a więc przede wszystkim zgromadzić fundusze, „Spółdzielnia Ludowy Teatr Muzyczny” uruchamia na sezon letni w dniu 27 bm. Teatr Letni na Polnej, w ogródku Lardellego, na specjalnie na ten cel zbudowanej scenie. Teatr Letni posiada 800 miejsc. Wpływ z przedstawień całkowicie przeznaczone są na budowę Muzycznego Teatru Ludowego, którego otwarcie nastąpi prawdopodobnie w początkach października br. Teatr Letni wystawia operetkę „Nitoche” w przeróbce na komedie muzyczną pióra D. Dawana i J. Tomskiego. Udział w przedstawieniu biorą czołowi artyści scen warszawskich ze Stefania Jarkowską w roli tytułowej oraz Parnell z wieloosobowym baletem. Orkiestra pod dyrekcją St. Dziegielewskiego. Premiera zapowiada się jako ciekawe wydarzenie sezonu i obfitować będzie w wiele pomysłowych artystycznych atrakcji wokalnych i tanecznych.

Przedprzedaż biletów od dnia 23 bm. w „Impedie” (Al. Sikorskiego róg Brackiej) w godzinach 10 — 17. w dniu przedstawienia w kasie teatru od godz. 17-ej.

IMPREZY FILMU POLSKIEGO

W okresie Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu P. P. „Film Polski” organizuje imprezę, która miłośnicy filmu przyjmą niewątpliwie z uznaniem.

Poczynając od dnia 21 lipca rb. będą wyświetlane we Wrocławiu przez okres Wystawy najlepsze filmy długometrażowe ubiegłego sezonu: produkcji radzieckiej, francuskiej, angielskiej i amerykańskiej, oraz krótkometrażowe polskie Program zmieniający będzie co 3 dni i rozpocznie się filmami krótkiego metrażu (w dniach 21 i 22 lipca w kinie „Warszawa” oraz 23 lipca w kinie „Śląsk”). Począwszy od dnia 24 lipca wyświetlane będą filmy długometrażowe w kinie „Śląsk”.

Tak więc ci wszyscy, którzy nie zdołali zobaczyć wielu z tych filmów na naszych ekranach w ciągu ostatnich 2 lat, będą mieli możliwość uzupełnić swe braki przynajmniej częściowo w okresie Wystawy Ziem Odzyskanych.

Na zakończenie imprezy wyświetlanych zostanie również kilka najlepszych filmów długometrażowych najnowszej produkcji zagranicznej, które mają się ukazać na ekranach polskich w nadchodzącym sezonie.

Stosownie do życzenia publiczności kinowej, która niejednokrotnie uzalała się na niemożność oglądania krótkometrażówek w kinach aktualności w godzinach popołudniowych. P. P. „Film Polski”, chcąc uwzględnić te życzenia i udostępnić szerszym rzeszom publiczności obejrzenie krótkometrażówek, daje w dniu 22 lipca w kinie „Stylowy” w normalnych godzinach seansów wieczorowych program, na który składają się będą następujące filmy krótkiego metrażu: Kronika, Czarne Złoto, Połowy dalekomorskie Osada nad Nysą, Kwitnąca Jabłonia, Jeziora mazurskie, Tour de Pologne.

Czytelnik uważa, że...

SPRAWA „KATOLICKIEGO KLUBU LITERACKIEGO” CZYLI „JASNYCH KSIĄZEK” A EMERYCI

Sympatyczny, poczytny katowicki „Gość Niedzielny” przypomina w najnowszym numerze w gorących słowach sprawę „Jasných Książek”, które nabyć można za ulgową ceną — zapisując się na członka t. zw. „Katolickiego Klubu Literackiego”. Intencja chlubnie znanej i tak zasłużonej dla piśmiennictwa katolickiego księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, szlachetna i ponenna. Skorzystałby z pewnością niejedyn emeryt z tej niezwyklej okazji skompletowania własnej, przez okupanta nielitościwie zniszczonej biblioteki własnej, gdyby nie „nie-szczęśne ale...”

Miesięczna pensja emerytalna emerytki, emeryta wynosi obecnie przeciętnie 2.000 zł., gdy sa nieletnie dzieci, dochodzi miesięcznie 500 zł. dodatku za każde dziecko.

Czas pędzi jak pociąg pospieszny i nie ma niestety absolutnie najmniejszych widoków by słuszne starania ogólnopolskiego Związku Emerytów Państwowych! o podwyższenie pensji emerytalnej, ba, o wypłacenie jej za czas wojenny, zostały uwieńczone skutkiem nader pomyślnym, bo nie ma widocznie poprostu nikogo na świecie, któryby nie tylko raz zajął rzetelnie okiem życzliwym do owego nie mniej aktualnego problemu ale i pomógł by emerytom. Szczycić się mogą emeryci jedynie życzliwymi oświadczeniami niektórych Panów Posłów i przychylnymi oświadczeniami pewnego odłamu codziennej prasy naszej — jak „Słowa Powszechnego” (Warszawa) i „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” (Bydgoszcz), który naprawdę pragnąłby nam nieba przyspożyć.

1) Którego przecesem p. Gizela,

Jeden z emerytów

„Dni chaosu i walki”

(dokończenie ze str. 8-ej)

Mimo woli nasuwa się wiele pytań.

Kto jest winien takiemu stanowi rzeczy?

Jaką wartość posiadała i na co się przydała praca tak licznych sztabów, dowództw, komórek, prowadzona przez kilka lat z takim wysiłkiem materialnym i z takim ofiarą, skoro wszystkie te plany zawiodły, gdy przyszło się zmierzyć z wrogiem.

Dlaczego tylu dowódców do ostatniej chwili obiecywano dostarczenie broni, gdy jej nie było w magazynach?

Dlaczego tak wyznaczono godzinę wystąpienia, że nie zdążono przeprowadzić całkowitej mobilizacji, rozprawić posiadaną broń?

W pierwszych godzinach powstania wytwarza się sytuacja, że właściwie w powstańczej stolicy nie ma zwartych oddziałów, zdolnych do walki, za wyjątkiem zgromadzenia ppłk. Radosława i niektórych grup

obwodu Śródmieście, którym dowodził płk. Radwan.

Ci dwaj dowódcy nie stracili w tych chwilach głowy.

Może ktoś jeszcze zapytać, a jak przedstawiała się sytuacja u nieprzyjaciela. Można o tym napisać równie wielki rozdział. U Niemców panuje niemierny chaos i dezorientacja, przeceniają siły powstańców, nie wiedzą, że brak im broni i amunicji. Cechuje ich kompletna bierność, choć wiedzieli, że w stolicy na stapi wybuch powstania, byli przygotowani do walki, jednak nie spodziewali się, że będą one się toczyć z taką siłą, zaciętością i determinacją powstańców i przy współudziale wszystkich mieszkańców stolicy.

Gen. Geibel, broniący się w Alei Szucha, w twierdzy Gestapo, stwierdza, że jeszcze jeden taki atak powstańców, a byłby zmuszony uciec.

Stanisław Podlewski

F I L M

Treścią historyjki pt. „Nicbo czy piekło” jest kilkudniowy mecz pomiędzy aniołem (który pojawia się jako przystojna blondynka) i diabłem (równie przystojny brunet) o dusze świeżo poślubionego małżeństwa.

Mąż — młody chłopak — jest pełen ambicji i chęci zrobienia kariery możliwie najszybciej i niekoniecznie najuczciwiej, żona natomiast jest pełna zasad i uczciwości. Odpowiednio kieruje się natarciem sił niemieckich tzn. diabeł emabluje żonę a anioł stara się nie dopuścić do upadku męża. W rezultacie przedstawiciel niebios angażując się silnie w swoje „akcje prewencyjne” ulega grzeszynom impulsom. Historyjka kończy się kapitulacją obydwu i po-

zostawieniem ludzi ich własnym losowi.

Sam pomysł pozostawia szerokie pole do działania dla realizatorów. Niestety film ten jest jednym z słabszych obrazów produkcji francuskiej jakie widzieliśmy. Akcja ma szereg dziuzym, dialog daleko odbiega od pełnego lekkości i żartu dialogu w innych filmach. Również prawie całkowicie nieruszona pozostała dziedzina tricków i efektów specjalnych — przechodzenie przez drzwi i znikanie (przy czym zawsze przy akompaniamencie tego samego gestu) to prawie wszystko co zostało wykorzystane w ramach możliwości filmowych.

Leszcz

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 31, m. 17, tel. 830-71. Konto P.K.O. — Nr. 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartałna 180 złotych.

B-33690